№ 31. Warszawa, dnia 20 Lipca (1 Sierpnia) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

METODA AKTORÓW
TEATRU MEININGEŃSKIEGO.

Autor dramatyczny nie może obyć się bez pośrednika. Nie wykończa on swego dzieła, jak powieściopisarz lub pieśniarz, lecz szkicuje tylko jego kontury, zaznacza sytuacye i wskazuje dekoracye.

Tam, gdzie powieściopisarz opisuje burzę, walkę, grzmoty i pioruny, lasy, jeziora, niebo i gwiazdy, może dramaturg tylko powiedzieć: tu ma być burza, walka, jezioro i t. d. Nie ma on nawet środków do wyrażenia szczegółów charakterystyki.

Wynika ztąd, że autor dramatyczny nie przemawia wprost do publiczności. Między nim a widzem teatralnym znajduje się jeszcze ktoś trzeci, który wciela i uwypukla dzieło sceniczne. Tym trzecim jest aktor, czyli przedstawiciel człowieka. Stoi on w takim samym stosunku do autora, w jakim był kiedyś minstrel średniowieczny do swego mistrza, do Truwera. Truwer stworzył, napisał sam, lub podyktował epopeję, a minstrel jeździł z nią po świecie i rozpowszechniał ją za pomocą deklamacyi i śpiewu.

W ojczyźnie teatru, w starożytnej Helladzie, byli autorowie zrazu sami wykonawcami swych utworów, dopóki się oczywiście t. z. dramat pierwotny ograniczał tylko na jednej roli. Tak stawali: Tespis, Frynichus, Pratinas sami przed publicznością, jako przedstawiciele wymyślonych przez siebie charakterów i bajek.

Dopiero Eschylos wprowadził drugiego aktora, a Sofokles, znany ze swego słabego głosu, trzeciego. Tak ściśle z autorstwem połączone aktorstwo, podnosiło znaczenie i stanowisko późniejszego „komedyanta". Aktor Aristodemus np. posłował niejednokrotnie do króla Filipa Macedońskiego, w imieniu rzeczypospolitej ateńskiej.

I wysokie honoraryа aktorskie nie są także nowością. Taki Polus np. chwalił się przed Demostenesem, że zarabia w przeciągu dwóch dni jeden talent, czyli około 13,000 rubli podług kursu dzisiejszego. „Naród artystów" kochał teatr nad życie, wydając na jego utrzymanie bajeczne sumy.

Dopiero w wojowniczym Rzymie upada marzenie aktorów. Naród żołnierski nie znał się na wartości sztuki, a jeśli klaskał, to tylko komedyi i bluetce.

W Rzymie nie poświęcali się też sztuce dramatycznej ludzie lepszych warstw. Pisali tam prace sceniczne i wykonywali je niewolnicy, lub wyzwoleńcy.

Nizkie pochodzenie autorów i aktorów wpłynęło, jak inaczej być nie mogło, na obniżenie ich stanowiska towarzyskiego. Nawet taki Plantos i Terencyusz, choć im nie szczędzono złota, nie mogli tego czaru przełamać.

Cesarz Augustus zamierzał zrobić reformę i w tym kierunku, lecz nie mógł pokonać przesądów zakorzenionych od wielu wieków. Był wówczas w Rzymie rycerz Decimus Laberius, odznaczający się wielkim talentem do aktorstwa. Za jego to pomocą chciał Cezar podnieść stanowisko wykonawców scenicznych, lecz nie podołał zadaniu.

Wprawdzie dał się Decimus Laberius namówić do występów publicznych, lecz imperator musiał go po każdem przedstawieniu na nowo uszlachcać, bo rodzina i koledzy uważali go za shańbionego. Nawet taki Cyceron, świeżo upieczony szlachcic, uciekał przed Laberiusem, aby się czasem nie musiał otrzéć o rękaw aktora, a broniąc publicznie słynnego artystę owego czasu, Kwintusa Rosciusza, żałował swego klienta, że: tak porządny człowiek musi stąpać po scenie.

Nietolerancyi Rzymu zawdzięczają aktorzy swą poniewierkę aż do czasów najnowszych. Chrześcijaństwo przejęło razem z językiem Romy dużo jej poglądów w różnych kierunkach. Rzymskie to prawo pozbawiło „Histryona" wszelkich przywilejów, stawiając go w jednym rzędzie obok: nieuczciwych, wypchniętych z armii, niedopuszczonych do urzędów i tym podobnych kopciuszków społecznych. Biada aktorowi, który się roli swej nie nauczył, lub ją źle wykonał. Pretor kazał go bez miłosierdzia ochłostać.

Przesąd ten trwał bardzo długo. Wiadomo, że jeszcze w XVIII wieku nie chowano „komedyan-

tów" na ziemi święconej. Rzeczywista zmiana w tym względzie nastąpiła dopiero w bieżącem stuleciu.

Dziś nie potrzebuje się już aktor wykształcony i zdolny skarżyć na brak uznania i szacunku. Co więcej, wróciły nawet czasy greckie. Aktorce najburzliwszego w młodości życia, zapominamy wszelkie wybryki, gdy zabłyśnie talentem. „Towarzystwo" otwiera na rozcież swe salony kobiecie, znanej z przeszłości lekkomyślnej, a publiczność zasypuje ją kwiatami, wieńcami i złotem. Nietylko, że aktorowie posiadają dziś zupełne równouprawnienie towarzyskie i społeczne, ale cieszą się nawet wyjątkowemi przywilejami, bo co nie wolno nikomu, to wolno „Histryonom".

Wobec tego wytworzyło się między samymi aktorami niejedno wyobrażenie, niejedno mniemanie o zadaniu sztuki wykonawczej, które nie wytrzymuje krytyki estetyka.

Przedewszystkiem wyrobiło się między zdolniejszymi aktorami przekonanie, że autor dramatyczny jest tylko pomocnikiem swego wykonawcy. Nie o poemat idzie na scenie, nie o całość, lecz tylko o znakomite „stworzenie" tej lub owej roli, mówią głośni wirtuozi sceniczni.

Z tej zasady wychodząc, nie starają się sławni aktorowie o dramaty wartościowe. Niech sobie „sztuka" będzie najgorszą, byle zawierała w sobie rolę, z której „można coś zrobić".

Nie o harmonijną całość szło: Dawisonom, Derricotom i w. i., nie o tak zwane „ensemble", o poprawną grę wszystkich aktorów, o dobre zrozumienie i wykonanie utworów, lecz jedynie o to, aby się ich rola najlepiej wydała. Niech sobie reszta robi, co jej się tylko podoba, niech nie umie deklamować, chodzić, ruszać się na scenie, byle bym ja sobą widza olśnił, zachwycił, uniósł! Najmilszą mi jest najlichsza „sztuka", bo wtedy mogę najdowodniej pokazać, co umiem, co potrafię.

Już Goethe i Schiller walczyli w Wejmarze z tem przekrzywianiem wyobrażeń o zadaniu i celach sztuki aktorskiej. Tradycyami teatru wejmarskiego przejął się książę Jerzy z Sachsen-Meiningen, zapalony teatroman, mecenas sztuki i nauki. Wstąpiwszy na tron w roku 1866, postanowił stworzyć u siebie scenę wzorową i uratować w ten sposób upadający teatr niemiecki. Prawie lat dziesięć pracował książę Jerzy, razem ze swą małżonką, nad wydoskonaleniem swej trupy, zanim ją wypuścił w świat, między ludzi, na występy gościnne. Dziś wiedzą wszyscy o teatrze meiningeńskim, podziwiając olbrzymie skutki kilkoletniej pracy i umiejętnej reżyseryi.

Jedna głównie zasada przenika metodę trupy meiningeńskiej, mianowicie: na scenie nie idzie o uwydatnienie właściwości talentu tego lub owego, lecz przedewszystkiem o dobre wykonanie utworu. Z tej przedniej, dominującej zasady wypływają inne.

Zanim aktor meiningeński zabiera się do nauczenia swej roli, musi nasamprzód znać treść danej sztuki i zrozumieć jej tendencyę, aby wiedział, jakie miejsce zajmuje jego rola w całości. Rzecz reżysera wytłomaczyć pojedyńczym wykonawcom utwór i oddać rolo w ręce właściwe, bez uwzględnienia czyichkolwiek gustów i zachcianek.

Lecz nie sama tylko deklamacya uwypukla dzieło sceniczne. Potrzebna do tego i mimika, odpowiednia maska i dekoracye. Mimika wynika z treści, a charakterystycznej maski i dekoracyi potrzeba sobie poszukać w historyi. Dzisiejszy reżyser teatru meiningeńskiego, zastępca księcia, pan Cronegk, bada bardzo dokładnie zwyczaje i obyczaje epok, w których się akcya jego sztuk okazowych rozgrywa, a gdy potrzeba, podejmuje nawet dalsze podróże, aby żadnego nie pominąć szczegółu. Teatr meiningeński odtwarza też z wiernością archeologiczną część dekoracyjną każdego dzieła.

W ten sposób powstaje całość, jakiej nie daje żaden inny teatr niemiecki.

Podporządkowanie sztuki wykonawczej pod twórczość, staranne wyuczenie się ról i właściwe ich rozdanie, dokładność w części dekoracyjnej — oto cała tajemnica powodzenia teatru meiningeńskiego. Prosta to, niezawikłana metoda, a jednak tak rzadko uwzględniana.

Teodor Jeske Choiński.

POWRÓT.

FANTAZYA POETYCZNA.

Eugenii M. na pamiątkę.

I.

„Nie idź, nie idź w świat, synu!
„Wiem, upaja wawrzynu
„Liść was młodych... ah, temu nie przeczę...
„Lecz tu za mną śmierć kroczy:
„A któż zamknie mi oczy,
„I o siostrze kto będzie miał pieczę?

„Kipi w piersiach krew młoda,
„Jak u ojca!... ah, szkoda,
„On nas także śród burzy porzucił...
„Czy dnie bólów najkrwawsze,
„Czy wesela dnie — zawsze
„Jam wierzyła, iż wróci... nie wrócił!

„Dziś, jedyną pociechę
„Mam z ciebie — a któż strzechę
„Walącą się podeprze — łan skosi?
„Gdy ty pójdziesz, mój drogi,
„Chwast zarośnie te progi;
„Zostań z nami — to matka cię prosi!"

„Zostań!" siostra powtarza,
Lecz sen szczęścia przeważa —
Kto wie jaki tam święty dług może?...

. . . .

Szedł gdzie życia wre bitwa —
Za nim matki modlitwa,
I łzy siostry i ciche: szczęść Boże!

II.

W chacie pusto!
Choć błyska
Z rodzinnego ogniska
Jasny płomień — choć wszystko jak wczora,
Za wrzecionem spotkacie,
W czarnych szatach postacie
Dwie — lecz dusza tam jedna i chora!

Milczą; a gdy wiatr w borze
Szumi, albo na dworze,
Suche drzewko podmuchem przewraca:
Drżą na dziwne te głosy,
I ze łzami w niebiosy
Patrząc, szepczą: to może on wraca?

Tak dnie biegną — tak lata —
„Pewno na kraj aż świata
„Zaszedł... może tam jeszcze trwa praca?
„Tylu zlanych krwią, potem,
„Lecz są dawno z powrotem
„Tutaj, a on, jak ojciec... nie wraca!"

I znów patrzą w krzyż Pana,
Oj, ta nasza, świetlana,
Cna natura niewieścia, skarb stary:
W szczęściu życia — w złej doli —
Co ją cieszy — co boli —
Bóstwu niesie na ołtarz ofiary.

III.

A młodzieniec tymczasem,
Błądził polem i lasem,
Lądem, morzem, pytając: gdzie Eden?
Jasnych swobód motyle,
Przywabiały go mile,
Ale w siatkę mu nie wpadł i jeden.

Kędy tylko na świecie,
Powstawały zamiecie —
Gdzie piorunem dłoń ludzka się zbroi —
Szedł i szukał...
Któż zgadnie,
Co tam w sercu tkwi na dnie,
Szukał... miejsca na gruzy swej Troi.

Leków na ból straszliwy,
Który jednak — o dziwy!
On ukochał jak dziecię swe własne;
Niósł go w piersiach, jak w arce,
Na żywota cne harce...
Zań swej braci chciał kupić dnie jasne.

Chciał, u wszystkich znów stanic
Ziemi, wiarą bez granic,
Wiarą w jutro, pobudzić zabiegi;
Jak Helwecki mąż cnoty (*),
W swą pierś wszystkie wbić groty
I przełamać upiorów szeregi.

I dokoła pociechy
Słowa — albo uśmiechy
Gorzkich szyderstw spotykał... a z dali —
Echem — brzmiała boleśnie
Pieśń wspomnienia... i we śnie
Widział tych, co go niegdyś żegnali.

Znane strony: wieś — rzeka,
Co w mórz głębie ucieka,
Niosąc tratwy flisaków i pieśnie..
Stary pleban wioskowy,
Przyjaznemi go słowy
Witał.. matka witała go we śnie!

I swój obraz tam na dnie
Stawu, widział dokładnie —
Słyszał borów szum głuchy... na łanie

(*) Winkelried.

Poznał wołów swych parę,
I skowronki swe szare,
Rówieśnika w poważnym bocianie.

Raz — popatrzył w błękity:
W chmurach na pół spowity
Szlak się dziwny o słońcu wraz krwawi...
Tam — od wschodu!
„Mój Boże!"
Jęknął — „czy to być może?
„To sznur znanych, z Mazowsza, żórawi!

„Oj, wy ptaki podróżne,
„Drogi nasze dziś różne,
„Bo mnie na Wschód porywa tęsknota...
„Skrzydeł waszych mi, skrzydeł...
„Z łowczych umknąłbym sideł
„I zapukał w znajome mi wrota.

„I jak zwiastun radości,
„Co tam dawno nie gości,
„Moich ojców znów jąłbym się roli;
„U nóg matki niebogi,
„I przy siostrze mej drogiej,
„Znówbym odżył po latach niedoli.

. . . .

Tak dnie biegną — tak lata!
Żal z rozpaczą się splata,
Zwiędły róże południa... krew skrzepła
W chłodnej piersi... dokoła,
Nawet gwiazdki dla czoła...
Ztamtąd trzeba zaczerpnąć znów ciepła!

I zatęsknił.
„Ah, pora!
„Matka biedna tam, chora —
„Siostra!..."
Zebrał łachmany tułacze;
On, co nie drżał w dniach burzy,
Dziś, gdy powrót los wróży,
Jak bezsilna dziecina drży — płacze.

IV.

Ogień co tlał w iskierce,
Gdy raz zakradł się w serce,
Taki pożar rozniecił, że biedny:
Dniem i nocą, jak oczy
Niosą, na wschód wciąż kroczy...
Chciałby w jednej tam chwili być — w jednej.

. . . .

Zmrok na dworze — bór znany
I znajome już łany
Widzi... świecą szeregiem ogniska
Chat... lecz w jego, coś ciemno...
„Boże! litość nademną
„Miej — tam okno znajome nie błyska!

„Czyżby sen ich już zmorzył?
„Ah, ah! czegom ja dożył!..."
Lecz pierś dawną odwagą znów zbroi:
„Więc to... nie — ja się mylę...
„Tu przeżyłem lat tyle,
„Gdzież ma chata... gdzież matka... gdzież moi??...

„Tu, żegnałem niebogę..."

. . . .

. . . .

Krzyż przegradza mu drogę
Na zwaliska jak męki znak wbity.
„Tutaj" — szepnął nieśmiało:
„Coś strasznego się stało!..."
Spojrzał jeszcze i stanął jak wryty.

. . . .

Aż świt wstając różowy,
Z Chrystusowej blask głowy,
Przeniósł na twarz nędzarza bez chaty...
Daremnie — jak z opoki,
Zimny — poszedł w szeroki
Świat, i tuła się znów, jak przed laty.

A nikt z braci, nikt z ludzi,
Cieszyć go się nie trudzi;
Bo gdzież leki na takie boleści?
Błądził długo, dokoła,
Cynizmem strasząc czoła
I bluźnierstwy... aż przepadł bez wieści.

* * *

Tak, są w życiu katusze:
Z ciałem, gubią i duszę,
Iż gaśnie jak zdeptana pochodnia;
A temu co swą strzechę
W gruzach znalazł — pociechę
Jak jałmużnę podawać... to zbrodnia!

E. H. de M.

KONIECZNA ELEGANCYA.

OBRAZEK.

Dzwonię, zgrabna pokojóweczka otwiera mi drzwi, prosząc do salonu, w którym zastaję grono pięknych kobiet i królującą nad niemi, uroczą wdówkę, gospodynię domu.

Co to za kobietka! ah! słów brakuje na określenie jej wdzięków.

Nie będąc wymownym, gdyż tego daru, jak na złość, odmówiła mi natura, powiem tylko, że nie można bezkarnie patrzyć w jej oczy, bo każdy kto w nie spojrzy, szaleje.

Głębokie i zmienne niby fala, człowiek dostaje zawrotu głowy; lepiej więc uniknąć pokusy i trzymać się zdaleka.

Nie słuchałem tych przestróg zdrowego rozsądku, lecz usunąwszy się od towarzystwa, które nawiasem mówiąc, było zawsze starannie dobrane, siadałem w kącie sali i zapatrzony w nią jak w urocze zjawisko, zapominałem o całym świecie.

Było to szaleństwo spokojne, nieszkodzące nikomu, lecz, jak wówczas sądziłem, nieuleczalne.

Bo, co to za oczy, jakie włosy lśniące, złociste, co za równiutka, cudownie zarysowana brewka, jaka zgrabna, niby utoczona figurka.

O! kobieta jest arcydziełem natury! gryzmoliłem później, w samotności, chcąc zapał jaki mnie ogarnął, ująć w rymy i wyrazić go w wiązanej mowie.

Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy i zazdrości godzien, kto zostanie mężem tego anioła, powtarzałem, wzdychając nad nieudolnością mego pióra i porównywałem moją samotność z losem tego wybrańca.

Dziwiło mnie trochę, że X., który ożenił się przecież z miłości, pomimo intryg trzech starych ciotek i wziął dziewczynę biedną, nie wydawał się jakoś zadowolonym i szczęśliwym, a przyjaciele twierdzą nawet, że kochał później jakąś szwaczkę.

— Mężczyzni zmienni są i bez serca — odpowie panna Euzebia, żywiąc jednak w dziewiczem serduszku nadzieję, że znajdzie się jeszcze ktoś, co ją zechce o bezzasadności tego aforyzmu przekonać.

Na tak ciężki zarzut nie odpowiem wcale, bo co się tyczy Xa., doprawdy, sam anioł straciłby cierpliwość, której ma pewno więcej niż my, ludzie i nie przebaczyłby tak potwornej zbrodni.

Nie wiem jakie jest w tym przedmiocie zdanie dam, mogę jednak zapewnić, że my, mężczyzni potępiliśmy go wszyscy bezwzględnie.

Ona, której każdy ruch odznacza się dystynkcyą i szlachetnością, urocza niby młodzieńcze marzenie, świeża i czysta jak wiosenny poranek—i tamta, marna pracownica igły!...

Klnę się na wszystko, że nie śmiałbym jej zestawić z żadną z siostr moich, z żadną ze znajomych i kuzynek, gdyż nie umiem wyobrazić sobie tej kobiety na tle powszedniego otoczenia, pospolitych, zwyczajnych warunków życia.

Postawiłem ją na piedestale jak boginię, i niby fakir, nie śmiałem zbliżyć się do bóstwa, zdaleka tylko bijąc przed niem czołem.

Nie, to nie jest ziemska istota!

Napisałem dwa sonety na jej cześć, których nie czytała, bo nie śmiałbym nawet o to prosić.

Lecz za to, marząc o niej, w długie, bezsenne noce, zrywałem się jak szaleniec, ogarniała mnie śmiałość, a raczej zuchwalstwo, biegłem śpiewać pod jej oknami, niby średniowieczny trubadur. Na moje szczęście, zanim stróż zaspany już nieco, bo mu widocznie miłość snu nie spędzała z powiek, klnąc i złorzecząc, zdążył otworzyć bramę, ostygłem już trochę, a rozsądek zaczął dopominać się o swoje prawa.

Gdy doszedłem do domu, w którym mieszkała królowa mego serca, przystanąwszy na chwilę, popatrzyłem już tylko w blady płomień lampy i wracałem do mieszkania.

Nareszcie, a był to wieczór piękny, księżycowy, potokiem słów gorących, które płynęły prosto z serca, wyznałem jej miłość.

Słuchała ze słodką minką pieszczonej koteczki, z którą jej było tak do twarzy; nie odpowiedziała jednak wyraźnie, że mnie odrzuca, ani też że zostałem przyjęty.

Zawieszony bez miłosierdzia między niebem a ziemią, gryzłem się w okropny sposób. Siostra, którą kocham bardzo i zdanie jej cenię, próbowała mnie przekonać, swatając na wpół żartem, z jedną ze swych przyjaciołek.

Nie wątpiłem, że wybór zrobiony przez Leonkę jest dobry i że w innych warunkach, jej protegowana przypadłaby mi do gustu, lecz zakochany po uszy w pięknej wdówce, nie chciałem patrzyć na żadną z kobiet.

W tak przygnębiającej niepewności wytrwałem z trudem dwa miesiące, długie jak wieczność, ciemne niby otchłań piekła. Gdy dziś wspomnę te chwile, podziwiam swą własną cierpliwość.

Leonka, tymczasem, coraz gorliwiej zachwalała mi Zosię, z którą, co prawda, lubiłem nawet rozmawiać, gdyż pomimo całego zaślepienia dla tamtej, z wrodzonego poczucia sprawiedliwości, musiałem przyznać, że Zosia jest bardzo rozsądną i miłą.

Czyż jednak z moją królową porównać ją można!

— Kiedyż nareszcie, drogi Karolku, zaprosisz nas na wesele? — pytała moja natrętna siostrzyczka.

— Zaproszę, o, tak, zaproszę, powtarzałem zgrzytając zębami.

Położenie stawało się okropnem.

Po upływie dwóch miesięcy, które kosztowały mnie kilka lat życia, straciłem już cierpliwość, postanowiłem rozmówić się otwarcie z Celiną i zażądać stanowczej odpowiedzi. Byłem zrozpaczony, lecz szedłem śmiało, gotując w myśli nader patetyczną przedmowę, od której kamienne serce bóstwa miało się na wosk rozpłynąć.

Nie zostałem przyjęty.

Pokojówka oświadczyła mi wyraźnie zaraz w progu, że pani nie przyjmuje, gdyż jeszcze nie ubrana.

Nie ubrana! Roześmiałem się gorzko z dziwactwa kobiet, mających osobliwe pojęcie przyzwoitości. Każdy mi przyzna że na balu są najmniej ubrane, gdyż obnażają szyję i ramiona, a żadna z nich tego się nie wstydzi i wzroku mężczyzn bynajmniej nie unika. Czemuż ukrywa się i płoni, mając na sobie lekki biały kaftanik z długiemi rękawami, zapięty pod szyję.

Wypowiedziałem otwarty bunt niekonsekwentnym przepisom towarzyskiej przyzwoitości i nie namyślając się długo, pobiegłem bocznemi schodami.

Serce biło mi jak młotem.

Widziałem już w myśli jej obraz, wysoka, smukła postać bez sztucznych dodatków, któremi moda często szpeci kobietę, rysowała się w mej wyobraźni; cała w bieli, niby anioł, któremu tylko brakuje skrzydeł, a co najmniej jak oblubienica idąca do ołtarza.

Na szczęście, wbrew ogólnie przyjętym zwyczajom, kuchnia była otwarta, jednym skokiem, zanim służąca zdążyła mnie zatrzymać, znalazłem się w pokoju.

Nie poszedłem dalej, lecz zatrzymałem się w progu, chociaż nie brakło mi odwagi; przeciwnie czułem się zdolnym do bohaterskich czynów.

Oczom moim przedstawił się dziwny i wcale niespodziewany widok.

Na sofie, z książką na kolanach, skulona we dwoje, siedziała moja piękność.

Włosy, ułożone zwykle w misterne węzły, przedstawiały obraz wcale nie artystycznego nieładu. Twarz, wysmarowana jakimś tłuszczem, świeciła się z daleka, kaftanik, ów idealny, śnieżnej białości peniuar, którym stroiła ją moja wyobraźnia, był pomięty i brudny, a spódniczka walczyła z nim o palmę pierwszeństwa.

Ujrzawszy mnie, pani krzyknęła i uciekła; sam nie wiedząc co czynię, poszedłem za jej przykładem.

Głowa mi jakoś dziwnie ochłodła, jak gdyby spadł na nią zdrój zimnej wody.

Celina, ubóstwiana Celina, wydała mi się wstrętną.

Powiedziano mi później, że mój ideał do wyjątków nie należy, gdyż jest na świecie dużo takich kobiet, które ubierają się *tylko dla ludzi*. Nie idzie im zupełnie ani o męża, ani o najbliższe otoczenie, dla siebie zaś dbać o własną powierzchowność nie potrzebują, nie mając najmniejszego zamiłowania porządku i ładu, stroją się więc, lub zaniedbują naprzemian.

Przypuszczam, że mówiono to tylko, aby mnie pocieszyć; jeżeli tak jest rzeczywiście, to chociażby mnie posądzono o przesadę, śmiem twierdzić, że z podobną towarzyszką życia nie można być szczęśliwym.

W salonie dama, po za kulisami tej sceny, kopciuszek, czyż może być coś bardziej rażącego?

Nie zazdrościłem już biednemu X., poczciwy człowieczysko umiał znosić swój los w milczeniu, nie skarżąc się przed nikim na zawód, jaki go spotkał.

Biedaczysko! przypomina mi los bohatera ludowej baśni, którą mi niegdyś opowiadała piastunka, tylko, że tutaj metamorfoza była mniej pożądaną. Tam kopciuszek zamienia się w królewnę niezwykłej piękności, tu czarująca królewna, w pomywaczkę.

Brrr!!!

Miłość moja zniknęła jak śnieg na słońcu.

Nie przypuszczam, żeby piękna wdówka żałowała tego; ja nie żałuję również, szczęśliwy, że rozczarowanie przyszło w porę i wróciło mi spokój.

Od tej chwili straciłem gust do strojnie ubranych kobiet, zrobiłem się podejrzliwy i niedyskretny; Leonka mówi, że jestem zrzęda, nie myślę nawet temu przeczyć.

Ten pesymizm, w swoim rodzaju, doprowadziłby mnie może do starokawalerstwa, lecz dowiedziawszy się, za pośrednictwem dbającej o moją przyszłość Leonki, że Zosia lubi czystość i porządek i *ład*, który to właśnie kobietę czyni *ładną*, odważyłem się na krok stanowczy.

Nie spotkał mnie zawód, Zosia utrzymuje wraz ze mną, że domowe ubranie, proste i nie kosztowne, lecz porządne, główka starannie uczesana, to jest *konieczna elegancya*, której od naszych pań żądać mamy prawo.

Nie obciąży budżetu, a skutki jej są zadziwiające. Najmniej piękna stanie się powabną, podczas, gdy zabrudzona królowa wdzięków wstręt tylko w nas obudzi.

K. Sz.

DWA LISTY Z AFRYKI

PRZEZ

J. Hanningtona.

LIST I.

(Dalszy ciąg.)

Dwudziestego ósmego Lipca przybyliśmy do drugiej naszej misyi do Mapwapwa. Zabudowania piękne jak na środkową Afrykę, ale o żywność trudno, bo liczne karawany poprzedziły nas na tej drodze. W okolicy srożyła się ospa, a w sąsiedztwie cała jedna wieś była zarażona, uważaliśmy więc za niebezpieczne przedłużać pobyt w tych stronach. O sześć mil dalej leży Kisokwe, prześliczne miejsce wśród gór, należących do długiego pasma, o którem już wspomniałem poprzednio. Tu już napotyka się wielce urozmaicone widoki. Wyniosłe szczyty gór, zakończonych nagiemi skalistemi wierzchołkami, inne znów uwieńczone wspaniałą zielonością, a liczne strumienie spływają w doliny, tworząc wodospady.

Zwierzyny mnóstwo i lampartów także nie braknje. Polowanie jednak przedstawia wiele niebezpieczeństw, bo małe oddziały rozbójników z plemienia Wahamba kręcą się po okolicy. Figowe drzewa, których pełno we wschodniej Afryce, wyrastają w tych stronach do olbrzymich rozmiarów, owoce na nich dojrzałe wyglądają ponętnie i pachną przyjemnie, ale nie ma na nich nic oprócz skórki i ziarneczek, tak, że dla ludzkiej istoty nic w nich nie ma do jedzenia, tylko ptaszki zajadają je łakomie.

Opuściliśmy tę piękną miejscowość idąc górskiemi ścieżynami, które strome i przykre, uciążliwe bardzo były dla ludzi. Spuszczając się na drugą stronę gór, wkroczyliśmy w trzeci okręg, składający się z pustych przestrzeni i równin Ugogo.

Piasczyste te płaszczyzny, pokryte nizkiemi wzgórkami różnią się zupełnie od krainy, którąśmy opuścili i gdzie tylko jest woda, brzegi jej są gęsto zaludnione. Zamiast rzek znajdują się tu kałuże i większe zbiorowiska wód bagnistych, nie zasługujące jednak na nazwę jezior, gdzieniegdzie odosobnione masy granitowych skał, podnoszą swoje głowy ponad równiną.

W pochodzie w tej okolicy jakoś z początku nie wiodło się nam. Wysłaliśmy naszych ludzi naprzód, a gdyśmy doszli już do punktu, z którego można było objąć okiem rozległą równinę z rozsianemi po niej wioskami, nie dostrzegliśmy naszego obozowiska ani śladu, w punkcie gdzieśmy je znaleźć byli powinni. Przykra to była chwila zawodu, zanim zdołaliśmy towarzyszy naszych odszukać. Zbliżywszy się, jakiż widok nam się przedstawił! Wiatr był tak gwałtowny, że pogasił ognie, a nasi ludzie schronili się w zagłębieniu wyżłobionem w piasczystym gruncie, przez górski strumień, wyschły teraz zupełnie. Dwa namioty leżały na ziemi, reszta zaś blizką była ulecenia z wiatrem, a gruba warstwa piasku pokrywała nasze posłania, kufry, wiadra, wszystko jednem słowem.

Wzięliśmy się zatem do młotków i sznurów, zapominając o zmęczeniu i niezadługo doprowadziliśmy rzeczy do porządku, ale owej nocy musieliśmy spać na pokładzie piasku, co przyjemnem wcale nie było. Ranek nie przyniósł żadnej zmiany, a na dobitkę złego powiedziano nam, że stan taki trwać będzie przez cały czas podróży przez Ugogo. Przykro to w czasie upału, mieć twarz, włosy, szyję, kufry, zasypane piaskiem, ale kiedy jeszcze kurzawa dostaje się do żywności i każdy kąsek wzięty do ust zgrzyta w zębach, można sobie wyobrazić jaką przyjemnością duszy życie pod namiotem w piasczystej pustyni.

W dwa dni potem przybyliśmy do miejsca gdzie woda obrzydliwa, miała okropny odór; tak filtrowanie jak gotowanie, nie przynosiło żadnego skutku i zupa, kawa i każde jedzenie przejęte było właściwą jej wonią, przykrą do zniesienia. Tegoż popołudnia poszedłem na polowanie z moim chłopcem Mumu.

Idąc łożyskiem wyschniętego strumienia spotkałem liczne stado małp, a potrzebując małpiej skórki do moich zbiorów, wystrzeliłem... bez skutku.

Spłoszone stado w jednej chwili zniknęło mi z oczów, a Mumu rzekł:

— Jeżeli pan chcesz zabić małpę, to trzeba strzelać śrutem.

Oddałem mu więc sztucer rozgniewany na swą niezręczność i dobrze się stało, bo o jakie sto kro-

ków dalej, na zakręcie łożyska ujrzałem trzy piękne, płowe lwy. Były tak blizko, że gdybym miał w ręku sztucer, pierwszy popęd byłby mnie skłonił do dania strzału; nie mając go stanąłem jak wryty, a lwy uciekły z widocznym przestrachem.

Ośmielony ich tchórzostwem pochwyciłem z rąk mego towarzysza sztucer i puściłem się w pogoń za niemi, ale wkrótce znikły mi z oczu w gęstych krzakach i choć słyszałem mruczenie i chrapanie w pobliżu, nigdzie z niemi na strzał spotkać się nie mogłem.

W parę dni później dostałem febry, której paroksyzm codzień mnie napadał, tak, że w końcu musieliśmy się zatrzymać na dłuższy wypoczynek, bo byłem zbyt słaby, abym mógł znieść trudy dalszej podróży. Przez trzy dni życie moje wisiało na włosku i tak byłem osłabiony, że chcąc przejść z jednego posłania na drugie, zemdlałem i ledwo się mnie dotrzeźwiono. Po kilku dniach febra mnie nareszcie opuściła i mogłem już siedzieć pięć lub dziesięć minut bez wypoczynku, nazajutrz zostałem wyniesiony na spacer w hamaku.

Ciekawość krajowców w tych stronach była nieposkromiona. Kręcili się około naszych namiotów od rana do nocy, prosząc o pokazywanie im różnych rzeczy, a że są znani ze złodziejstwa, musieliśmy nieustanny i baczny nadzór nad nimi rozciągać. Mężczyzni noszą tylko koźlą skórę, przewieszoną od jednego ramienia do kości biodrowej z przeciwnej strony. Malują się czerwoną farbą tak, że wyglądają raczej na czerwonoskórych niż na murzynów. Włosy długie, wiążą często włóknami z kory i splatają na różne sposoby. Typ ogólny mieszkańców Ugogo jest: mały wzrost, twarz o rysach szerokich i płaskich z bardzo niskiem czołem. Nieliczne wyjątki odznaczające się urodą, pochodzą, jak mi powiedziano, ze szczepu Wamasai.

Kobiety odziewają się staranniej i przystrajają miedzianemi łańcuchami, co wdzięk ich naturalny bardzo podnosi. Najwybitniejszą cechą pokolenia Ugogo są uszy, w końcach swych zawsze przekłute. Z początku zakładają w dziurkę słomkę lub kawałek miedzianego drutu, dokładają potem coraz więcej, aż w końcu ucho rozciąga się do tego stopnia, że można w nie założyć kawałek kija, tykwę, tabakierkę i tym podobne ozdoby. Od dwunastoletniego chłopca dostałem kawałek drzewa, który nosił w uchu, grubości większej niż korek od butelki. Czasami ucho tak się wyciągnie, że koniec jego sięga do ramienia i nic już w niem utrzymać się nie może; w takim razie służy tylko jako podstawa do zawieszenia pięknego łańcucha lub kółka z żelaznego drutu. Czasem zaś dolna część ucha przerwana jest zupełnie tak, że ku wielkiemu żalowi właściciela nic już w niem nie może być noszone. Przychodzili do mnie często z prośbą o uleczenie uszu, ale choć łatwo tego mogłem dokonać, zeszywając obie połowy, odmawiałem zawsze, nie chcąc dopomagać do utrzymywania tak szkaradnego zwyczaju.

Pomimo to wszystko polubiłem tych osławionych Ugogo, podobała mi się pewna męzkość w ich charakterze. Chłopcy okryci byli wojennemi malowidłami, uzbrojeni w błyszczące dzidy i skórzane puklerze: chciałem je kupić, tak były pięknie wyrobione, ale właściciele żądali za nie tak wiele, że musiałem wyrzec się chętki ich posiadania.

W niektórych miejscach, do których przybywaliśmy, mieszkańcy nie widząc nigdy przedtem białego człowieka, otaczali nas w około przypatrując się z najgłębszem zadziwieniem. Jeden dał mi raz do zrozumienia, że nie jestem ładny, a raczej mówiąc wyraźniej, że jestem niesłychanie brzydki. Wyobraźcie sobie tylko, gromadę dzikich ludzi przypatrujących się białemu człowiekowi, jako dziwnemu, nieznanemu stworzeniu, przerażającej powierzchowności.

Buty moje, tak jak się to zdarzało i innym podróżnikom, rozbudzały zawsze wielkie podziwienie.

— Więc to twoje nogi? — pytano.

— Nie, to moje obuwie.

— A czy ono rośnie na twoich nogach?

— Nie, nie rośnie i zaraz wam to pokażę.

I rozsznurowałem trzewik. Szmer podziwienia rozległ się w około, a podwoił się na widok niebieskich skarpetek, bo myśleli, że nogi moje są niebieskie i bez palców. Jeszcze większe podziwienie po zdjęciu skarpetki sprawił widok nogi białej o pięciu palcach, gdyż byli przekonani, iż tylko widzialne części mojego ciała, twarz i ręce były białe, reszta zaś czarna tak jak u nich.

Niewyczerpanem źródłem zabawy była dla nich ogromna, według ich zdania, liczba ubrania, jaką miałem na sobie. Że noszę surdut, koszulę i trykotowy kaftan pod kamizelką, wydawało im się prawie niepojętem, a tem bardziej gdym im powiedział, że noszę to wszystko dlatego, żeby się zabezpieczyć od słonecznych promieni.

Zegarek mój również był niezmiernie podziwiany.

— Człowiek w nim siedzi, to czarownik! — wołali. — Mówi, mówi tik! tik! tik!

Nos mój porównywali do dzidy, dziwiąc się jego długości i cienkości, a niektórzy śmielsi pociągali mnie za włosy i brodę, sądząc, że to przyprawne dodatki, noszone dla ozdoby. Wielu z nich obawiało się nas, jakby ludzi nie z tego świata. Jedno skinięcie ręki, jedno uderzenie nogą o ziemię wystarczało na znaglenie ich do pospiesznej ucieczki z namiotu, który otaczali pięcioma szeregami. Z początku wydawało się to nam zabawne, ale gdy zaczęło powtarzać się ciągle i trwało cały dzień, mieliśmy tego dobrego zanadto.

Dwudziestego drugiego Sierpnia przeszliśmy przez Ugogo, nie opłaciwszy najmniejszego podatku, czyli nie złożywszy nigdzie choćby bardzo skromnego podarunku, co było najwyższym tryumfem podróży po tej krainie.

Teraz wkroczyliśmy na pustynię.

Każdego kto wkracza na te równiny uderzyć musi niezmierna ilość dzikiego ptactwa, jak: dropie, czaple, bociany, ibisy, gęsi i kaczki i t. p. znajdujące się tu wszędzie w obfitości nigdzie niewidzianej.

W porze deszczów rozwijające się tu krzaki pokryte kwieciem, są niewypowiedzianie piękne. W porze suszy za to, trudno wyobrazić sobie coś posępniejszego nad tę pustynię. W niektórych miejscach jest tak samotna, że żaden ptak ani motyl nawet lub owad, żadne zwierzę nie przerywa jej samotności.

Raz szedłem przeszło godzinę i nie znalazłem ani jednego drzewa, któreby mogło choć trochę osłonić od promieni słońca. W innych znów miejscach trzeba przebywać kilka mil przez ciągnące się zarośla, tak gęste, że stanowiłyby ciężką zaporę nawet dla słoni; bezlistne jednak ich gałęzie nie dają ani trochę cieniu.

Po sześciodniowej ciężkiej podróży nadeszła niedziela, z chęcią bylibyśmy ten dzień poświęcili wypoczynkowi, według Bożego przykazania, lecz było to niepodobieństwem; żywność była blizką końca, stracić zatem jeden dzień, znaczyło skazać na głód wszystkich ludzi składających naszą karawanę, zwłaszcza, że wpływ zmniejszonych porcyi żywności objawił się wkrótce wzrastającą kłótliwością, tak że wprędce po wyruszeniu w pochód musiałem biegać w różne strony—i razami parasola przywracać spokój i zgodę pomiędzy poważnioną zgrają.

Trzeciego Września przybyliśmy do Uyni, następnej stacyi misyjnej. Tu się zaczyna czwarty okręg, o którym wspominałem, a mianowicie kraina Unyamwezi, państwo księżycowe. Stanowi ono wyniosłą płaszczyznę leżącą o 3,000 — 4,000 stóp nad poziomem morza, zasianą małemi wzgórzami, na których szczycie granitowe skały rysują dziwaczne swoje kształty. Mieszkańcy państwa księżycowego zajmują się handlem wewnątrz kraju, dla zarobku opuszczają nawet ojczyste zagrody, najmując się za tragarzy i corocznie setki ich udają się na brzeg morski z ładunkiem żelaznych łopat, rogów, tytoniu, zębów hipopotama, kości słoniowej, ze wszystkiem jednem słowem co się da sprzedać.

Plemię to nieporównanie przemyślniejsze od reszty murzynów, uprawia na wielką skalę bawełnę i wyrabia z niej tkaninę: topi żelazną rudę napotykaną w wielkiej obfitości w tutejszych wzgórzach i wyrabia z niej narzędzia z niepospolitą zręcznością. Łopata wyrobu Wawyamwezi, kosztuje w nadmorskiej okolicy dolara, lub płaci się ubraniem odpowiedniej wartości.

Mieszkańcy Wawyamwezi są wysmukłej budowy, niezmiernie tchórzliwi, kłótliwego usposobienia; trudno nimi rządzić jak zepsutemi dziećmi, a potężny ich władzca Mirambo, zdobył tron własną zasługą.

Z przyjemnością przypominam sobie posłuchanie jakie miałem u niego, gdyż z rozmowy można już było poznać niepospolity rozum tego człowieka.

— Mirambo — rzekłem — jesteś wielkim wojownikiem i odniosłeś wiele zwycięztw. Powiedz mi, jacy żołnierze są lepsi: młodzieńcy, czy ojcowie?

— Jeżeli chcę iść naprzód z pośpiechem i potrzebuję napadać nagle i z gwałtownością, używam do tego ludzi bardzo młodych, są oni bowiem śmielsi i bardziej porywczy; ale jeżeli mam bronić wioski, lub oblegać nieprzyjaciela, biorę ojców, bo ci będą walczyć w obronie swoich żon, swoich dzieci i swoich bogów do ostatniej chwili życia swego.

Niedługo przed naszem przybyciem, Mirambo zwołał męzką ludność z otaczających wiosek i rozkazał zbudować sobie pałac. Trzech mieszkańców nie stawiło się tłomacząc chorobą. Nazajutrz Mirambo nic nie mówiąc, udał się do tej wioski i zastawszy ich zajętych robotą dla siebie, natychmiast rozkazał uciąć im głowy. Angielski misyonarz przebywający w tej wsi powiedział mu:

— Mirambo! nasza królowa jest potężną królową, ale nigdy nie postępuje w taki sposób.

I zaczął mu tłomaczyć prawa, rządzące krajem i zadanie sądów.

— Tak — odparł na to Mirambo — dobre to dla waszej królowej: ona ma w koło siebie mądrych ludzi, ale dla mnie na niby się to nie zdało. Moi ludzie są głupi i tylko w taki sposób mogę nimi rządzić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIĄZANKA NIEZAPOMINAJEK.

(Tłomaczone z francuzkiego)

PRZEZ

Gabryelę H.

Młodziutka, siedmnaście lat zaledwie, a tak piękna, choć wątła i blada, z rozrzuconym złotym włosem i niebieskiemi oczami, zwilżonemi łzami, siedziała obłąkana na kamiennej ławeczce, w rozległym dziedzińcu Przytułku.

W około niej zimowe słońce rozjaśniało wysokie mury, pokrywając srebrnym całunem tafle i piasek, na którym kilka czarnych, suchych drzew rozciągało cień swych szkieletów.

Świeży powiew, wesoły i czysty, igrał w powietrzu, tu i owdzie piszczał wróbelek. Gdyby liści kilka zieleniło się na drzewach, zdawać by się było mogło, że Kwiecień powrócił.

W Styczniu bywają czasem takie wiosny przelotne.

Lecz biedna obłąkana nie cieszyła się tem. Otulona wązkim, szkockim szalem, z wejrzeniem bojaźliwem, siedziała na samym brzegu ławki, z główką przechylona trochę, tuląc do swych ust wiązankę niezapominajek, na którą łzy jej, jedna po drugiej spływały.

Student oprowadzający mnie po tej krainie szału i rozpaczy, pozwolił mi zbliżyć się do dziewczęcia i pomówić z niem. Tak smutna i bezsilna nie mogła być złą.

Na odgłos moich kroków, podniosła prędko głowę i spojrzała na mnie, rozpromieniona naraz, swemi słodkiemi oczyma, z których radość łzy wysuszyła, niby słońce pojące się rosą.

— Przychodzisz pan po mnie? — spytała, składając ręce jak do modlitwy. — Zabierzesz mnie ztąd, zabierzesz zaraz? Ah! jakżem szczęśliwa. Bo widzisz, dziś, przed wieczorem jeszcze, muszę odejść ztąd. Już od tak dawna nie byłam u niego, nie mogłam z nim mówić, pocieszać go! Smutno mu tam samemu i cierpi!

— Kogóż chcesz odwiedzić, moje dziecię — spytałem.

— Jego! — rzekła.

— Jego?

— Roberta!

— Twego kochanka, twego narzeczonego może?

— Oh nie!... narzeczonego Janiny!

Zdziwiony trochę, powtórzyłem:

— Narzeczonego Janiny?

— Tak.

— Czy cię oczekuje?

— Co dzień, od sześciu miesięcy.

— A gdzież on ciebie czeka?

— Ależ tam gdzie jest. Na cmentarzu, w grobie. Nie znasz jego grobu? Ładny jest, z białego marmuru, który czasem na słońcu zdaje się różowym. Imię Roberta wyryte jest na nim. Jest tam także urna alabastrowa, którą woda z niebios zapełnia i z której ptaszki piją!

Patrzyłem na nią wzruszony, zdziwiony.

— Ah tak! — rzekła i pan mnie nie rozumiesz! Myślisz może, że wszystko skończone, gdy życie uleci; że człowiek już nie myśli, nie czuje, gdy jest pogrzebanym; że jednem słowem, umarli nie żyją? To fałsz, panie! Pan nie znasz się na tem, boś nigdy do szpary grobu ucha nie przyłożył, by słyszeć co się tam dzieje. I ja też, przed tem co mnie spotkało, nie wiedziałem że umarli żyją. Nie mam panu tego za złe, nie możesz tego wiedzieć, co ja wiem!

Zatrzymała się chwilę, przycisnęła do ust wiązkę niebieskich kwiatków i ciągnęła dalej, powoli:

— Razu jednego, poszłam sama jedna na cmentarz Père-Lachaise, z wieńcem dla przyjaciołki mojej z klasztoru, której już nie miałam. Wrzuciwszy kilka grosików do skarbonki, wracałam. W powietrzu, pod lazurem i chmurami, jakaś dziwna była jasność, miejscami cień, a między grobami przesuwały się promienie, znikały i powracały, jak goniące się dzieci. Tak było słodko, tak cudnie, że czułam się szczęśliwą i wesołą. Przechodząc koło grobu, gdzie wiele rosło kwiatów, zapragnęłam jednego. Wszakże to nie jest świętokradztwem? Wyciągnęłam rękę... lecz naraz się wstrzymałam, drżąc cała. Tam, pod tym kamieniem, jakiś głos się odezwał, jakiś słodki głos! Oh! nie myliłam się, słyszałam wyraźnie. Głos mówił żałośnie:

— Janino, czy to ty nareszcie?

Pochyliłam się by słyszeć. Głos ten szepnął jeszcze:

— Oh! Janino, czy to ty nareszcie? odpowiedz.

Z początku, ogarnął mnie strach wielki, teraz już minął, pozostała tylko litość i tkliwość bez granic.

Spojrzałam na grób i wyczytałam nazwę: „Robert Daniel”, zmarły w dwudziestym roku życia: pojęłam wszystko. Ten, którego sądzili uśpionym w tym grobie, a który nie spał, miał narzeczoną, Janinę, która mu przysięgła odwiedzić go na cmentarzu i dotąd nie przyszła. A on czekał jej ciągle; gdy odgłos kroków dolatywał go przez ziemię, myślał, że to ona przychodzi nareszcie spełnić przysięgę i pytał: Czy to ty? Lecz nikt nie odpowiadał. Ja to jednak uczyniłam. Tak mu tam musiało być źle, w cieniu nocy, w zimnie, w ciasnej trumnie! Czyż bardzo zawiniłam chcąc go pocieszyć? Przemówiłam do niego i skłamałam: Tak, to ja, to ja, Janina! Oh! straszny był mój niepokój... może pozna, że to nie jej głos, nie uwierzy może, że to Janina! Lecz przez grubą warstwę marmuru, dochodził go widocznie niewyraźny tylko szept, gdyż usłyszałam głębokie, radośne westchnienie! Wierzył! wierzył! I tak, gawędziliśmy słodko i czule!

Z początku, rozumiesz pan, mówiłam rzeczy nieokreślone, mogące się do wszystkich zastosować miłości. Słuchałam go, zastanawiając się nad jego słowami, chwytając szczegóły, aby poznać jego dzieje i módz z nim mówić jak osoba świadoma. Ah! byłby się okropnie zmartwił, gdyby był podstęp mój zmiarkował. Po godzinie wiedziałam już wszystko, a Janina nawet, lepiej nie odpowiadałaby odemnie. I zostałam tam, aż drzwi cmentarza miano zamknąć. Wróciłam nazajutrz. Codzień, przez trzy miesiące szeptaliśmy sobie słodkie, serdeczne wyrazy. Wspominaliśmy wiosenny poranek, w którym się spotkaliśmy po raz pierwszy, pierwszy uśmiech, pierwsze uściśnienie ręki, pierwszy pocałunek. Jakże często przychodził wieczorem do furtki ogrodu! Mówiliśmy za kratą, jak teraz przez kamień grobowy. A nieraz wsuwał mi w rękę zwinięty papierek, na którym skreślił wiersze, pisane dla mnie. Potem, rodzice nasi chcieli nas uszczęśliwić. Śmierć tego nie chciała. Zachorował. Mówiliśmy o naszej trwodze, o nadziejach naszych, podczas długiej jego choroby. Lecz nawet gorzkie te wspomnienia, były nam drogie i byliśmy szczęśliwi. Niestety! dnia jednego szłam jak zwykle na cmentarz, niosąc wiązkę niezapominajek dla Roberta; były to ulubione jego kwiatki, gdy wtem, matka moja weszła do pokoju, a z nią, dwoje obcych mi ludzi. Wzięto mnie, zabrano! Tu mnie zaprowadzono. Tu smutniej niż na cmentarzu, a chociaż także umarłam, nie możemy już mówić ze sobą, ponieważ groby nasze zbyt są rozdzielone!

Ucichła i załkała! Gdy podniosła głowę, spostrzegła pewno mój smutek, zrozumiała, że nie przyszedłem po nią.

— Czy zechcesz pan przynajmniej—szepnęła— spełnić moją prośbę? Posłuchaj: Robert spoczywa na Père-Lachaise, mówiłam to już panu. Nie trudno go znaleźć. Tam, w tej długiej alei, na lewo! Zastukasz pan dwa razy w kamień, bo on często śpi. To był nasz umówiony znak. Powiesz mu, że Janina, Janina, rozumiesz pan? pojechała z matką w długą podróż, że wkrótce jednak wróci, za tydzień, dwa, niedługo! żeby się nie smucił i był cierpliwym, że go zawsze kocha. Powiesz mu pan także, że przysyła mu tę wiązankę kwiatów i położysz ją na grobie. To go ucieszy!

Wziąłem kwiaty i poszedłem. Na tem koniec. A jednak, muszę się do jednej jeszcze rzeczy przyznać, choć się na śmieszność narażę: to jest, że spełniłem jej zlecenie...

Catulle Mendés.

Z pod naszej strzechy.

Warszawa jest w tej chwili osieroconą, wszystkie jej córki i wszyscy synowie, którym położenie finansowe, do pewnego stopnia przynajmniej, nie krępuje wolnej woli, opuścili swą matkę kamienną i powędrowali szukać tego, czego im kochana matka dać nie może, to jest: powietrza świeżego i odetchnienia.

Bogatsi, nie zważając na figle kursów pieniężnych, udali się do wód zagranicznych, w góry urocze, do morza; inni zaś godząc się z zasadą „popierania swojskości”, osiedli chwilowo w Ciechocinku, Nowem mieście, Ojcowie, lub Nałęczowie, a reszta rozsypała się w okolicach Warszawy, w tak zwanych „letnich mieszkaniach”, których w ostatnich czasach przybyła wielka obfitość.

W okolicy zrozumiano, że świeże powietrze jest wcale zyskownym artykułem handlu; więc kto tylko, w blizkości linii drogi żelaznej, posiada kawałek wydmy piasczystej, w niej trzy karłowate sosenki suchotnice, wnet skleca jaką lekką, malowaną budkę i ogłasza, że ma do wynajęcia wspaniałą willę, wśród balsamicznych lasów iglastych!

Amator na wynajęcie znajdzie się zawsze, bo któryż mieszczuch nie pragnąłby, aby rodzina jego miała, chwilowo chociaż, możność odetchnięcia świeżem, czystem powietrzem, aby na wybladłych twarzach dzieci wykwitnął rumieniec. On ufa w to, że kilkomiesięczny pobyt za miastem, to jedyne źródło zdrowia na rok cały; więc spieszy też do zaimprowizowanych „lasów o balsamicznej woni”, zawiesza na karłowatych sosenkach huśtawki, przyrządy gimnastyczne, hamaki, każe dzieciom biegać nieustannie i tarzać się w piasku, używać ruchu, wyrabiać w sobie siły.

Taki dbały ojciec rodziny, jeżeli obowiązki nie pozwalają mu samemu korzystać z rozkoszy letniego mieszkania, jeżeli przez cały tydzień musi pracować w mieście, w niedzielę dopiero wybiera się

w odwiedziny do swoich najdroższych. Przybywszy na stacyę, przypuśćmy do Miłosny, lub Mińska, wysiada z wagonu i obładowany mnóstwem pakunków, pakuneczków, paczek, niby „okręt pustyni”, a mówiąc bez przenośni, niby wielbłąd, kroczy po piaszczystych wydmach do swoich najdroższych.

Nie potrzebuję mówić, że witają go wesołe okrzyki dziatwy, śmiechy i pocałunki.

Mieszczuch upaja się czystem powietrzem, z apetytem niszczy kwaśne mleko i poziomki, wreszcie zrzuciwszy z siebie urzędową sztywność i powagę wskakuje na huśtawkę i buja się jak dziesięcioletni dzieciak.

Naturalnie, że zaraz po przyjeździe odbywa się przegląd dziatwy: Jaś opalił się, Stefcia utyła, Mani przybyło najmniej trzy funty!

Te trzy funty, to nie bagatela! to marzenie, które zaczyna się urzeczywistniać, to radość. Niejedni rodzice oddali-by bardzo wiele, byle o kilka funtów cięższem stało się ich dziecię, byle na jego bladej, mizernej twarzyczce wykwitnął rumieniec.

W tem właśnie leży sekret powodzenia letnich mieszkań, w tem tkwi racya ich bytu.

Gdy tyle osób wyjechało, naturalnie w mieście zrobiła się cisza, nastał sezon martwy, tak zwany „ogórkowy”. Kupcy drzemią w sklepach, właściciele różnych zakładów publicznych ziewają, oczekując gości, a nawet w teatrze cisza. Przerywają ją tylko ciężkie westchnienia i jęki reżysera, który, nie zważając na tropikalny upał, męczy się nad rozwiązaniem zagadki, w jaki sposób ułożyć repertuar, gdy dwie trzecie artystów znajduje się na urlopie, a jedna trzecia zarzuca dyrekcyę prośbami o urlop. O tym nieszczęśliwym reżyserze, można powiedziéć, że znajduje się na morzu, na statku parowym i widzi, że mu węgla braknie pod kotłem.

Zrozpaczony, wrzuca w piec wszystko co ma pod ręką: narzędzia, zapasy żywności, wreszcie surdut własny i perukę, byle tylko gasnący ogień podtrzymać i dobić się szczęśliwie do brzegu. Wprawdzie poświęcenie naszego reżysera tak daleko nie sięga, aby miał aż perukę własną wrzucić w ogień, pod kocioł skomplikowanej, teatralnej maszyny. Peruka nie narażoną jest na takie autodafe straszliwe, gdyż wynaleziono środek inny, a mianowicie... debiutantów.

Oni to idą w ogień i płoną, ze wzruszenia naturalnie, że pierwsza scena otworzyła się przed niemi.

Reżyserya wrzuciła już sporą ilość młodzieńców i dziewic do gorejącego pieca: czy przebywszy próbę ogniową wyjdą z niej jako złoto błyszczące i czy jaśniéć będą na naszej scenie, która sił świeżych potrzebuje koniecznie, to zapewne przyszłość niedaleka pokaże. Gdy stała nasza scena znajduje się w epoce prób i debiutów, ogródki robią co mogą, aby przyciagnąć publiczność. Słyszeliśmy, że artyści wędrowni uczą się z gorączkowym pośpiechem kilku sztuk, podobno nieposledniej wartości; kompozytorowie zaś i libreciści suszą sobie mózgi, żeby wymyślić coś, coby nie było ani farsą, ani operą, a mogło trafić do gustu publiczności.

Pięćdziesiąt przedstawień z rzędu! oto ideał tych panów, ideał dobry jako ideał i jako ideał niedościgniony.

Dyrektorzy również sadzą się na pomysły i nie dziw, Warszawa to ich żniwo!

Ah! żniwo! żniwo! wszakżeż ono teraz odbywa się w najlepsze. Na szerokich łanach kosy brzęczą i sierpy, turkocze i zgrzyta ciężka żniwiarka, wielkie wozy naładowane snopami, kołyszą się po wyboistych drożkach polnych, jak olbrzymie kaczki i skrzypiąc pod ciężarem, wtaczają się powoli do stodół.

Ludzie pracują ciężko, pot zlewa im czolo i kroplami grubemi spada na ziemię; ale cóż to znaczy, mają po co się schylać, więc im praca nie ciężka, a skoro mrok zapadnie i wietrzyk chłodzić zacznie uznojone czoła, wówczas z tysięcy piersi wyrywa się pieśń rzewna i prosta, rozbrzmiewa po rosie, ślizga po wodach i powtarza się echem w borach szumiących, ciszej, coraz ciszej, dopóki nie rozpłynie się w przestworzu zupełnie.

Krótka noc, krótki spoczynek, a nazajutrz znów sierpy i kosy brzęczą na rozległych zagonach.

— Szczęść wam Boże, żniwiarze! Szczęść Boże, żniwiarze ziarna, którzy dajecie nam chleb. Szczęść wam Boże, żniwiarze ducha, którzy dajecie nam światło i wreszcie szczęść Boże i wam żniwiarze niedoli, którzy w pracy cichej a ciężkiej spędzacie życie całe, nie zaznawszy wytchnienia i rozrywek.

Szczęść wam Boże, żniwiarze obowiązków!!

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Jednodniówka** „dla pogorzelców”, w ubiegłym tygodniu ukazała się na półkach księgarskich. Składa się z trzech arkuszy druku, ozdobiona chromolitografowaną okładką z winietą tytułową Gersona i rysunkiem Andriollego, zawiera prace wszystkich niemal miejscowych sił autorskich, oraz Kraszewskiego i Orzeszkowej.

Cena jednodniówki 50 kop. a skład główny w księgarni Paprockiego i S-ki.

Polecamy szanownym naszym Czytelniczkom to filantropijne wydawnictwo, którego celem zmniejszenie nędzy nieszczęśliwych ofiar pożaru miasta Grodna. Treść jednodniówki dość urozmaicona, aforyzmów stosunkowo niewiele, znacznie więcej poezyi, drobnych nowelek i treściwych rozprawek z rozmaitych działów pismiennictwa.

Kupujcie panie, złóżmy się wszyscy na tę obywatelską ofiarę dla biednych...

*** **Towarzystwo wstrzemięźliwości** zamierza propagować kilku anglików, mieszkających w naszem mieście, biorąc za wzór odpowiednie stowarzyszenia rozsiane gęsto w ich ojczyznie. Stowarzyszeni nietylko nie używają wina, wódki i piwa, lecz nawet nie palą tytoniu.

Każdy przyzna, że działalność tego rodzaju misyonarzy byłaby nader pożądaną; kraj zyskałby na dobrobycie, zmniejszyłaby się liczba wywłaszczeń po wsiach i miasteczkach, gdzie plaga pijaństwa bez przestanku grasuje. Gdy mówimy o tem, stają nam w myśli tysiące smutnych, wstrętnych obrazów, aż nadto realistycznej treści: niedola rzemieślnika, zbydlęcenie mieszczanina i wieśniaka, a często zbrodnia, do której wódka stała się narzędziem. Wykorzenić pijaństwo byłoby tak wielką zasługą, że w obec niej bledną te, które świeciły nam dotąd najwspanialszym blaskiem; wykorzenić pijaństwo to usunąć nędzę, wrócić spokój rodzinom, pogodzić małżeństwa, wrócić dobrobyt, do którego każdy pracujący wzdycha nieraz napróżno. Nie przesadzamy, twierdząc, że to jedno znaczyłoby więcej, niż założenie setki kas rzemieślniczych, lub rozliczne ofiary rzucane marnie w chwilach stagnacyi przemysłowej i handlowej.

Dalej, panowie, przystępujcie do dzieła z wiarą i wytrwałością najwyższą, bo to dzieło wielkie i święte.

*** **Muzeum przemysłu i rolnictwa.** Budowa gmachu zostanie ukończoną w krótkim czasie, i nowy budynek pomieści natychmiast zbiory towarzystwa.

Zbiory te są już dość znaczne, stosunkowo do tak małego przeciągu czasu; w 1881 roku składały się z 2,394 okazów, z tych 1,566 z działu przemysłowego a 828 rolnictwa. Biblioteka zawierała 739 tomów treści technicznej, rolniczej i przemysłowej.

W roku bieżącym muzeum zbogacone zostało darami niektórych przemysłowców, biorących udział w tegorocznej wystawie, i tak: p. Bekerman ofiarował piękną kolekcyę wyrobów młynarskich ze swoich zakładów w Firleju pod Radomiem, pan Szeibler z Łodzi okazy produkcyi przędzalno-tkackiej, pan Pfeifer z Warszawy, okazy produkcyi garbarskiej; pan Kęczarski z Warszawy, kolekcyę narzędzi stalowych. Mamy nadzieję, że na tem się nie skończy, a liczba okazów stale powiększać się będzie, by świadczyć o rozwoju działalności przemysłowców i rolników, którzy mają chlubne lecz ciężkie zadanie, wydźwignięcia kraju z ekonomicznej ruiny, jaka mu grozi.

W prawem skrzydle gmachu muzeum, funkcyonuje od dni kilku główna stacya meteorologiczna, pod kierunkiem p. Kwietniewskiego, który bada obecnie urządzenie tychże stacyi w główniejszych miastach Niemiec, Holandyi i Belgii.

*** **Skutki stagnacyi.** Konkurencya zbożowa grożąc upadkiem rolnictwa w naszym kraju, zwanym niegdyś „spichlerzom Europy,” sprowadza znaczne obniżenie cen ziemi.

Mnóstwo majątków jest do sprzedania lub zamiany, nie mało również sprzedaje się z przymusowej licytacyi i to za cenę tak nizką, o jakiej przed paroma laty pomyśléć było trudno, zwłaszcza, że ziemia szła ciągle w górę.

Niektóre ceny są więcej niż nieprawdopodobne, a jednak, niestety, prawdziwe; np. w powiecie prasnyskim 90 włók żyznej ziemi sprzedano za 60,000 rs., podczas, gdy przed kilku laty taksowane były na 225,000 rs.

Kto chciał zbyć majątek, a pragnąc osiągnąć jak największą cenę, za długo się namyślał, spotyka teraz zagadkę do rozwiązania bolesną: albo pomimo najtrudniejszych warunków, kołatać biedę nadal, lub też zmarnować za bezcen szmat ojczystego zagona.

Naszem zdaniem, lepiej kołatać i pracując w czoła pocie, wynajdywać nowe źródła dochodów, które koniecznie wytrysnąć muszą, aby tylko wytrwałości nie brakło, aniżeli pozbywać się ziemi, zmieniać fach, w którym mamy po za sobą przeszłość, na inny, zupełnie obcy, który nas nęci jako *terra incognita* i na rozczarowania naraża.

*** **Groźne widmo** cholery, sprowadza u nas bardzo wiele dobrych następstw, podtrzymując energię komisyi sanitarnej. W przeciągu zeszłego tygodnia, komisarze cyrkułowi odbyli rewizyę w stu czterdziestu domach, a z tej liczby trzydzieści dziewięć domów uznanych zostało za nieodpowiadające warunkom sanitarnym, w skutek czego zarządzono w nich przeróbki i melioracye.

Specyalna komisya obejrzéć ma wszystkie fabryki, zakłady przemysłowe i lecznicze, w celu przekonania się czy odpowiadają one warunkom sanitarnym.

Często więc złe przyczyny wywołują dobre skutki, może w niedługim czasie będziemy mieli porządnie utrzymane podwórka, a miejsca, o których się nie mówi, przestaną szerzyć zarazę i zatruwać powietrze.

Są ulice i to pierwszorzędne, bardzo pod tym względem upośledzone; cóż że front domu jaśnieje przepychem, gdy mieszkać w nim trudno!

⁎ **Pocieszająca wiadomość.** Z początkiem roku szkolnego, otwarte będą na Pradze, w domu pana Mintera, klasa przygotowawcza i pierwsze cztery klasy gimnazyum męzkiego. Rodzice, którzy dzieci swe z tak znacznej odległości do Warszawy posyłać musieli, doznają wielkiej ulgi, która również odezwie się i w sercach ogółu, brakowało bowiem miejsc dla naszych synów, w tutejszych gimnazyach. Może po usunięciu się mieszkańców Pragi, zrobi się tutaj trochę luźniej i nie tak trudno, przebojem, edukacyę publiczną zdobywać będzie trzeba. W ubiegłych latach, ścisk wszędzie był tak wielki, że dobierano tylko uczniów, którzy zdali egzamin w stopniu celującym, oby więc rok bieżący zrobił nam pod tym względem miłą niespodziankę.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

⁎ **Niezwykły objaw samolubstwa.** Pan Henryk Meynard radca jeneralny w Vaucluse, zmarły w ostatnich czasach, zrobił oryginalny testament, jedyny może w swoim rodzaju, gdyż zapisał cały majątek „śmiertelnym szczątkom swoim". Oto jego słowa:

„Zapisuję śmiertelnym szczątkom moim dom w Valreas, tak jak go kupiłem od spadkobierców pp. Marjusza i Karola Meynard w d. 30 Grudnia 1880 roku. Życzę sobie, aby wszystko w tym domu pozostało w tym samym stanie, w jakim było w chwili mojej śmierci, bez żadnej zmiany i aby wszystkie zwierzęta, aż do ich śmierci zostały tamże utrzymane. W galeryi domu wzniesiony być ma mały pomnik, pod którym należy moją trumnę zakopać i przykryć blokiem z twardego kamienia, który następnie winien być zakitowany cementem.

Pragnę być pochowanym bez asystencyi duchownego jakiejkolwiek religii i chcę by prosto z łóżka przeniesiono mnie do grobu."

Dom zapisany „śmiertelnym szczątkom", posiada wartość 200,000 fr. a testament świadczy o samolubstwie i upadku moralnym nieboszczyka, który nawet na progu śmierci nie umiał pomyśléć o bliźnich.

Nie ulega wątpliwości, że znajdzie się ktoś, co poda sądowi tę kwestyę do rozwiązania, bo czyż podobny testament ma jaką racyę bytu i utrzymać się może?

⁎ **Okrutnik.** Zdarzają się czasem fakta, na zasadzie których można by twierdzić, że niektórym jednostkom obce jest zupełnie uczucie ludzkości.

W miasteczku San Dona, na granicy tyrolskiej, od kilku miesięcy, dzieci znikały z domów, w niepojęty sposób. Otóż nareszcie, po usilnych poszukiwaniach, wykryto sprawcę, który zeznał, że w braku innego pożywienia zjadał biedne maleństwa.

Straszny ten człowiek jest z pochodzenia tyrolczykiem; zaprowadzony do więzienia, dostał napadu wścieklizny.

⁎ **Elegantki z za oceanu.** Damy w Nowym Yorku, wybierając się na bal lub zabawę jaką, na której występują w dekoltowanych sukniach, mają zwyczaj polerować biust i ramiona.

Operacya odbywa się w następujący sposób:

Przedewszystkiem, myją się wodą różaną, następnie nacierają goldcream'em, który musi pozostawać przez 15 minut, w dalszym ciągu zaś biust i ramiona posypują próchnem, które również wcierają mocno. Po skończeniu operacyi, skóra wygląda jak marmur polerowany, a ciało wydaje się jędrnem i świeżem.

Wierzyć temu trudno, a próbować wcale nie radzimy, podajemy tylko tę wiadomość, zaczerpniętą z zagranicznych gazet, jako dowód, że tamtejsze panie tak okrzyczane z rozsądku i rozumu, są nader próżne a tem samem śmieszne. Emancypacya na tej drodze wydaje nam się konieczną.

⁎ **Olbrzymia kasa.** W Buenos-Ayres wykończono w fabryce pp. Schwartz i Comp., kasę pomysłu Bacha, dla jednego z banków prowincyonalnych w la Plata.

Długość kasy wynosi 9 metrów, wysokość 5 metr., szerokość 8 metrów, a waga 90 000 kil. Pomimo tak olbrzymich rozmiarów, kasa wykończona jest jak we wnątrz tak zewnątrz z prawdziwie artystyczną dokładnością. Panowie Bach wydali w jej wnętrzu, bogato oświetlonem i udekorowanem, bal dla robotników, którzy pracowali przy budowie tego olbrzyma. Tańczące pary poruszały się w kasie z zupełną swobodą.

Przypuszczać należy, iż tej już chyba, amatorowie cudzej własności zabrać nie będą mogli i pod tym przynajmniej względem, bank czuć się może zupełnie bezpiecznym.

⁎ **Aklimatyzacyą herbaty** zajmują się szczególnie Anglicy i Włosi, ciągle z wielką wytrwałością wykonywając próby. W początkach bieżącego stulecia pracowano nad tem w Sycylii, lecz rezultat zupełnie zawiódł oczekiwanie, a w roku 1871, właściciel ziemski pod Mesyną, rozpoczął na nowo uprawę herbaty, która również się nie powiodła.

Wytrwałość jednak nie chce dać za wygranę, plantatorowie z własnego doświadczenia przyszli do wniosku, że herbata chińska na nic się nie przyda i sprowadzili obecnie znaczną ilość krzaków z chłodniejszych okolic Japonii, aby je rozsadzić w różnych stronach półwyspu.

Według Descenella, uprawa herbaty wymaga zupełnie innych warunków niż uprawa krzewu winnego; w Chinach wprawdzie rośnie wino, ale sprzedaż jego gra tam bardzo podrzędną rolę.

⁎ **Wystawa.** W jesieni 1887 r. odbędzie się w Atenach czwarta z rzędu wystawa narodowa, celem wykazania postępu osiągniętego na polu krajowej produkcyi, sztuki i przemysłu z ostatniego lat dziesiątka. Ponieważ na brak funduszu uskarżać się nie można, gdyż bogaty patryota Evangelis Zapp na budowę gmachu wystawy zapisał dość znaczną sumę, więc też roboty zostały już rozpoczęte.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Іюля 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 30.

(*Dokończenie.*)

N. 30. Negliżyk koronkowy.

Podstawa czepeczka składa się z paska 5 cent. szerokiego, 48 długiego, przy górnym brzegu założonym w fałdki do 36 cent., a z tyłu złączonego trójkątnym kawałkiem, 4 cent. długim. Brzegi dolne oszyte drutem i objęte wstążką; do tak przygotowanego paska dodane denko odpowiedniej wielkości. Zwierzchnie pokrycie stanowią dwa kawałki koronki 16 cent. szerokiej, po 76 cent. długie, sfałdowane podług ryc. 30. Denko sfałdowane z kawałka szerokiej koronkowej falbany, kokardy z wstążki niebieskiej repsowej, 4 cent. szerokiej.

N. 32. Wyszycie na płótnie.

Deseń w starożytnym stylu rzymskim z XIII wieku, odrobiony jest na grubem płótnie domowej roboty i ma kontury wyszyte ściegiem sznureczkowym bawełną granatową, powierzchnia figur zaś zasnuta grubemi białemi nićmi na szpulce. Na tle po za deseniem rzucone są maleńkie kwadraciki ściegiem point d'armes.

N. 33—34. Bluzka do negliżowego ubrania.

Żabot i karoczko wskazane na ryc. 33—34 przypina się oddzielnie, bluzkę zaś kraje się z baskiną 25 cent. długą, plecy założone są w sześć fałdek schodzących się do środka, przody zaś mają po 3 fałdki z boków zapięcia na guziczki; fałdki te na wcięciu stanu są zastębnowane wzdłuż na 10 c. Pasek 4 cent. szeroki, wykłady na rękawach 8 c. szerokie. Karoczko z tyłu w środku zapinane, ułożone w jednym ciągu z żabotem wymaga kawałka wełnianej koronki 400 cent. długiej: 36 szerokiej. Końce koronki zwraca się do środka pleców, 135 cent. marszczy się ściśle i przyszywa do paska podług ryc. 34, pod trzema puklami z aksamitki; z boków koronka zaplisowana płasko, z przodu zaś tworzy żabot, ułożony w fałdy wachlarzowe, przypięty pod szyją kokardą aksamitną. Model był z niebieskiej materyi surah, zdobny koronką żółtawo białą.

Opis do N-ru 31.

N. 1—3. Ubrania domowe i spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Płaszczyk fałdowany dla małej dziewczynki. Model kroju na dodatku z formami N. V, fig. 37.

Przód i plecy przykrojone podług *a* i *b*. Fig. 37 zeszywa się z sobą, a w otwór pachy wszywa się szeroki rękaw, przy ręce zmarszczony i w wązki pasek wszyty. Krój rękawa podług r. 7 w N. 19 Tyg. Mód. Następnie pelerynę przykrojoną podług *c* i przody płaszczyka oszywa się koronką wełnianą, składa w głębokie plisowane fałdy, w górnej części podszyte tasiemką, a od dołu luźno puszczone. Pelerynę przyczepia się do przodów niewidocznemi ściegami od gwiazdki do krzyżyka i od kropki do dwukropka, a od krzyżyka do kropki zostawia się otwór do wyjęcia ręki. Okrągły marszczony kapturek wszyty jest w wązki pasek, obejmujący wykrój szyi. Płaszczyk odrobić można z alpagi, kaszmiru lub lekkiego sukienka na podszewce jedwabnej. Kapelusz duży, okrągły słomkowy.

N. 2. Ubranie dla starszych dam.

Plisowanie dane u dołu wkoło spódnicy, z przodu podchodzi w górę, pomiędzy wązko otwartemi częściami garnirunkowemi, które lekko nadmarszczone w górze, pokrywają dolną połowę spódnicy. W miejsce kaszmiru w paski *frisè*, z którego zrobione były te części na modelu, można zwyczajny, gładki kaszmir naszyć sutaszem lub wązką aksamitką. Krótką, suto podpiętą fartuszkową draperyę dopełniają z tyłu bryty prosto spuszczone, zaokrąglone u dołu. Pod otwarte, kaftaniczkowe przody stanika, dodane są części kamizelkowe; plecy zakończone są fałdowaną baskiną. Na głowie upięta chustka koronkowa.

N. 3. Płaszczyk z karczkiem dla dziewczynki lat 6—8. Krój podług ryc. 21.

Karczek można dopasować podług fig. 31 i 33, zmieniając zapięcie z tyłu na zapięcie z przodu i dodając u dołu ząb z przodu i z tyłu. Boczki wszywa się do karczka gładko, a przody i plecy złożone w kontrafałdy; plecy przy szwie środkowym otwarte są aż do wcięcia w pasie. W miejsce paska dany sznur gruby z kwastami. Rękawy z kawałka prostego, wszyte są przy ręce w mankiet 7 c. szeroki. Kołnierzyk 4 cent. wysoki. Karczek zapięty na dwie metalowe agrafy, a płaszczyk na kryte haftki. Model odrobiony był z kortu i aksamitu. Kapelusz czerwony słomkowy, ubrany wstążką popielatą w czerwone centki.

N. 4. Teka do papierów. Wyrzynanie w tafelce mosiężnej. 1/4 część deseniu na fig. 39.

Wykończoną tafelkę mosiężną przybija się małemi mosiężnemi rozetkami do deseczki dębowej, mającej 36 cent. szerokości a 30 wysokości, która stanowi ścianę zwiechnią, złączoną zawiaskami ze ścianą tylną. Ta ostatnia ma 40 cent. szerokości a 31 wysokości; na rogach zdobią ją 4 większe rozetki mosiężne, a w górze na środku dodane jest ucho do zawieszania teki. Środek zwierzchniej ścianki zdobi jedna większa rozeta. Sposób piłowania w mosiądzu opisywaliśmy w r. 1884 przy ryc. 17 i 18 w N. 9 Tyg. Mód.



N. 1—3. Ubrania spacerowe i domowe.

N. 1. Płaszczyk fałdowany dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. V, f. 37. N. 2. Ubranie dla osoby w poważnym wieku. N. 3. Płaszczyk z karczkiem dla dziewczynki lat 6—8.

N. 5, 6 i 25 oraz r. 7 w N. 32. Ubranie staników do sukien.

N. 5 i ryc. 7 w N. 32. Stanik z ranwersami.

Zgrabny niezwykły stanik należał do sukni z materyału ciemno oliwkowego i miedzianego koloru, do której żabot i ubranie rękawów było z 24 cent. szerokiej grenadynowej wstążki w paski tureckie. Baskina trochę przedłużona z tyłu, podszyta była materyą miedzianego koloru. Razem z przodami zapiętemi na kryte haftki kraje się ranwersy, z których zwierzchni, dłuższy, przypina się na piersiach pod pięknym guzikiem; takiż guzik zdobi ranwers u dołu przy staniku, na obydwa te ranwersy dodane zwierzchu małe ranwersy z materyi. Kołnierzyk stojący i żabot zmarszczony są ze wstązki tureckiej, z której patka zapięta z boku na krytą haftkę przykrywa przyszycie żabota. Rękawy ozdobione podwójnemi ranwersami i fałdami ze wstążki. Spódnicę wkoło plisowaną na gładkiej podszewkowej, ozdobioną z tyłu szarfą z gładkiej materyi, dajemy oddzielnie na ryc. 7 w N. 32. Szarfa ma 26 cent. szerokości. Stanik może służyć do spódnicy innego fasonu.

N. 6 i 24. Stanik ubrany szlakami haftowanemi na kanwie. Dalszy ciąg deseniu krzyżowego na fig. 40.

Bardzo ozdobne i łatwe szlaki, robione były na kanwie metalowej, podłożonej 6 cent. szerokiemi paskami atłasu pawiego koloru. Zęby robione były trzema cieniami rozdzielanej filozeli, koloru vieil-or, środkowe figury kolorem czerwonawo bronzowym i łososiowym, a proste rzędy górne kolorem bordo. Po skończeniu roboty wycina się kanwę tuż przy ząbkach, a pod atłas daje się podszewkę z perkalu. Na fig. 40 dany jest deseń na kołnierz i mankiety z narożnikiem.

N. 7 i 8. Rękawiczki ogrodowe.

N. 7 i ryc. 25 w N. 32. Rękawiczka z szarego płótna, nankinu żółtego lub t. p. materyału. Forma w N. 28 z r. 1884 przy ryc. 28. Próbka szlaczku wyszytego nićmi białemi i bawełną bronzową na ryc. 25 w N. 32.

N. 8 i ryc. 24 w N. 32. Rękawiczka z kolorowej bawełny, robiona na drutach.

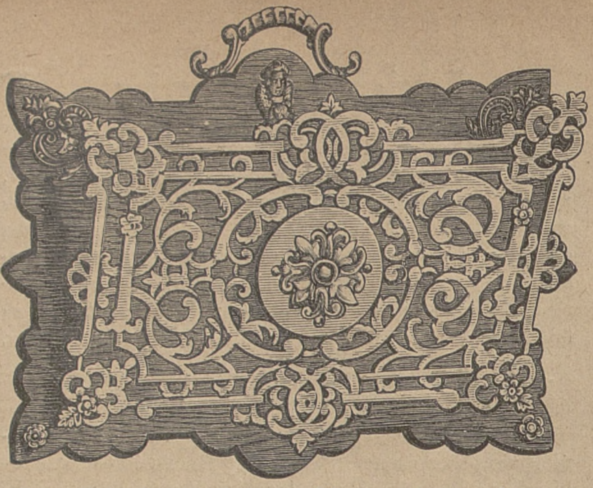
N. 9 i ryc. 13 i 23 w N. 32. Serweta haftowana na płótnie. Desenie na arkuszu z krojami fig. 73 i 74.

Serweta trzymająca 64 cent. w kwadrat, haftowana była podług dawnych wzorow na rzadkiem płótnie *holbein*. Koronka niciana 6 cent. szeroka, robiona na klockach, dzieliła serwetę (sposobem wskazanym na ryc. 9) na cztery kwadraty, trzymające po 23 cent., których rogi ścięte były na 6 cent. Z pod koronki płótno się wycina, a brzegi pozostałych części są wąziutko obrąbione. Większą część deseniu do haftu zdobiącego kwadraty dajemy na r. 23, część brakującą na fig. 73, a na fig. 74 jeden z czterech liści zdobiących środek serwety. Deseń rysuje się na płótnie, następnie wszystkie kontury, gałązki i żyłki robi się ściegiem łańcuszkowym, okrętką zwierzchu przyszywanym, nićmi grubemi białemi; tuż przy tem dany rząd ściegiem łańcuszkowym, bawełną niebieską. Tło figur zapełniają różne ściegi, dokładnie wskazane na ryc. 23 w N. 32; próbkę ściegu ażurowego, zapełniającego większą część figur, dajemy powiększoną na ryc. 13 w N. 32. Brzegi oszyte koronką nicianą, odpowiednią do wstawki.

N. 11. Suknia ozdobiona haftowanemi szlakami.

Model sukni odrobionej z jasnego loden w grube nitki, zdobiły szlaki haftowane w maszynie ściegiem drobnym krzyżowym, na gazowem płótnie, kolorami jasnemi, w gu-

ście tureckim. Spódnica wkoło marszczona i draperya spódniczkowa, oszyte są szlakiem trzy razy; ta ostatnia jest w górze sfałdowana, a z jednej strony wysoko podpięta sznurem grubym w kolorach haftu, opasanym wkoło stanika i związanym z boku. Stanik krotki bawetowy, otwarty z przodu, dopełnia plastron haftowany, przemarszczony w górze kilka razy i zachodzący na wysoki pasek pod szyją. Kołnierz i mankiety wykładane i ranwersy na staniku są ze szlaku haftowanego. Stanik zapina się z boku pod ranwersem.



N. 4. Teka do pism i gazet. Wyrzynanie z mosiądzu; deseń na arkuszu fig. 39.



N. 5. Stanik z wykładami.



N. 7—8. Rękawiczki ogrodowe.
N. 7. Rękawiczka z płótna szarego. N. 8. Mitenka robiona na drutach.

N. 12—14 i r. 31 w N. 32. Majtki, kamizelka i żakietka dla chłopczyka lat 6—8. Krój na arkuszu z krojami N. III, fig. 17—30.

Na ryc. 31 w N. 32 widzimy całe ubranie odrobione z cheviotu i aksamitu bronzowego, a na ryc. 12—14 w N bieżącym majtki, kamizelka i żakieta są jeszcze oddzielnie podane. Na fig. 17 i 18 jest forma przedniej i tylnej części krótkich majtek, ozdobionych z boku guzikami, których brzeg górny wszywa się w pasek od *f* do *g*. Pod kamizelkę aksamitną daje się dymową podszewkę. Otwory kieszonek pokrywają patki 2 cent. szerokie; pomiędzy boczne szwy pleców krótszych z materyału podszewkowego, wszywa się paski 4 c. szerokie a 17 c. długie, zapięte na sprzączkę. Przody i boczki żakiety kraje się razem; otwory kieszeni pokrywają patki 5 c. szerokie. Szew środkowy pleców zeszywa się od *u* do *u*, a u dołu pozostawia się rozpór 6 c. długi. Kołnierz aksamitny (fig. 27) przyszywa się od *u* do *v*. Rzędy stębnówki zdobią ubranie. Czapeczka jest także z cheviotu; najpierw podług fig. 28 i 29 kraje się podszewkę podłożoną sztywnym muślinem i zeszywa od *w* do *x*, następnie podług fig. 30 przykrawa się dno okrągłe ze zwierzchniego materyału, które się przymarszcza i przyszywa na podszewce od *y* do *z*, nakoniec dodaje się wkoło brzegu pasek aksamitny, 3 cent. szeroki. Z boku zdobi czapeczkę kokarda aksamitna, przepięta agrafką metalową.



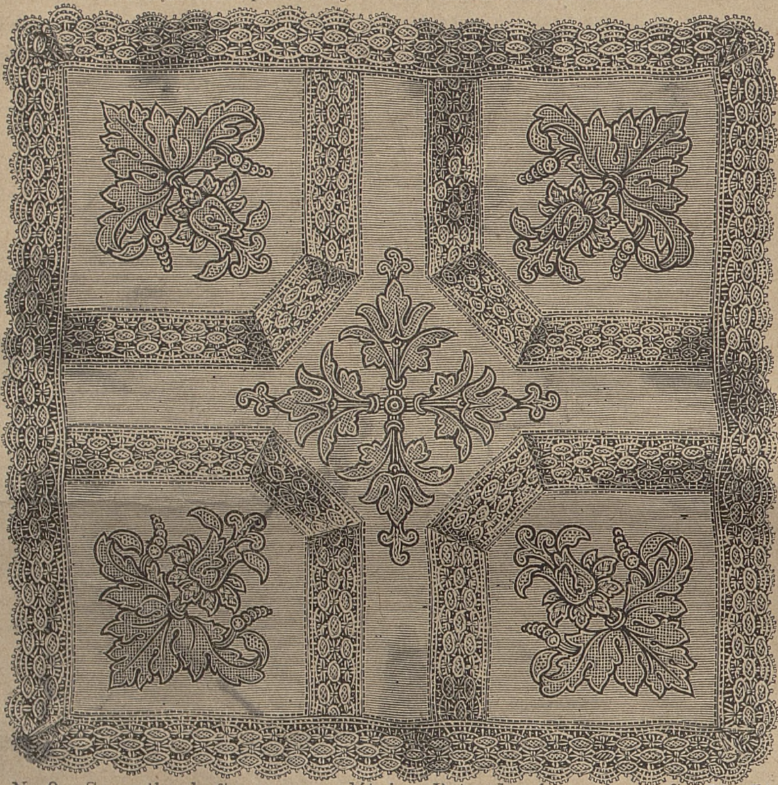
N. 6. Stanik przybrany haftem. Patrz ryc. 24.

N. 16. Koronka szeroka siatkowa.

Tło może być białe, czarne lub niewarowe, a wyszycie takim samym lub odmiennemi kolorami robione. Bardzo ładnie wydaje się koronka wyszyta kolorami na tle białem, z użyciem nici cienkich do point d'esprit, a grubej bawełny lub nici płaskich do ściegu sznureczkowego.

N. 19. Kapelusz ogrodowy.

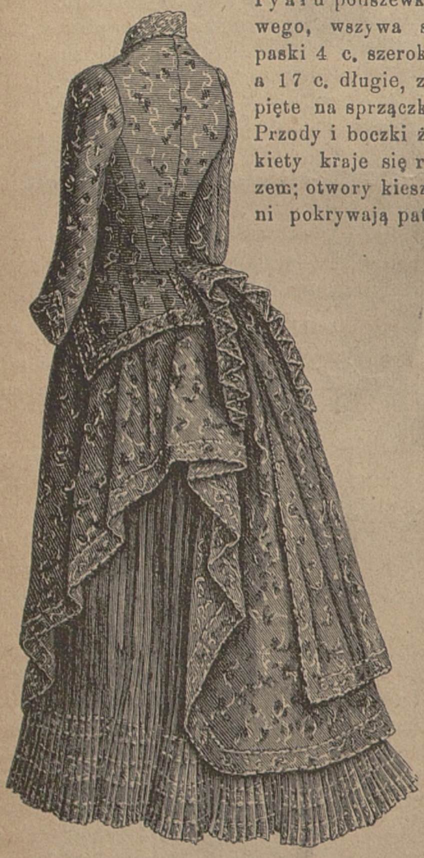
Szerokie rondo kapelusza plecionego z grubej słomki, podszyte było czerwoną jedwabną materyą. Ubranie stanowiły bukiety z polnych kwiatów i traw.



N. 9. Serwetka haftowana na płótnie. Patrz deseń na arkuszu fig. 73—74, tudzież ryc. 13 i 23 w N. 32.

N. 22—23. Haft ściegiem wypukłym na serwety, poduszki i t. p.

Na ryc. 23 dajemy nowe, zmienione zastosowanie ściegu wypukłego, do którego służyć może każdy deseń krzyżowy, przeznaczony do haftu na płótnie kanwowem lub na kanwie Aida. Model do ryc. 23 robiony był na kanwie żółtawej Aida, której grubość wskazana jest dokładnie na ryc. 23. Do haftu służyła bawełna D. M. C. N. 6 (jaka używana jest do roboty pończoch), do gwiazd i figur kwadratowych w kolorze szafirowym i czerwonawo bronzowym, w blado zielonym i grochowym do arabesek i pasków prostych. Dla większego ożywienia roboty zmieniany jest kierunek ściegów sposobem wskazanym. Na ryc. 22 dajemy w naturalnej wielkości próbkę roboty rzędami tam i napowrót idącemi; od ręki lewej do prawej daje się tylko jeden ścieg długi, zajmujący tyle krzyżyków kanwy, ile jest w tym rzędzie w deseniu; pod rząd idący od



N. 10. Suknia z kaftanikiem i draperyą. Patrz ryc. 30. Krój i przedstawienie sukni z boku patrz na arkuszu N. I, fig. 1—9.



N. 11. Suknia przybrana szlakami.

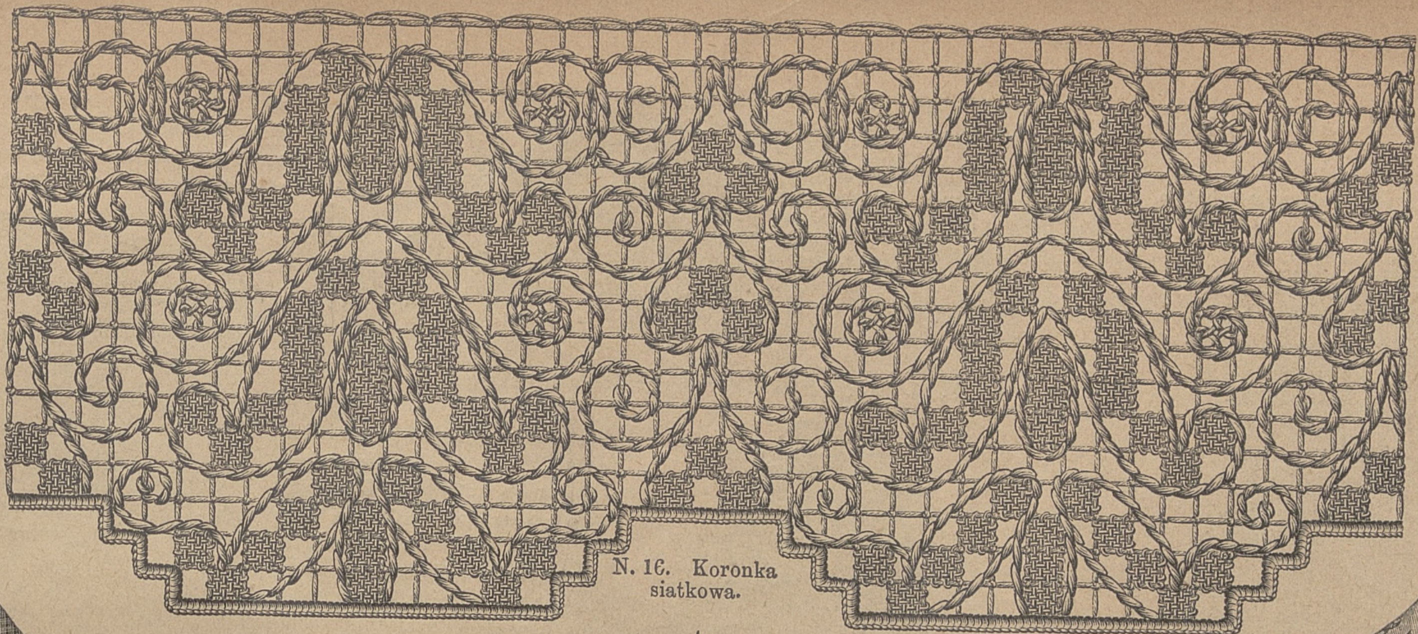


N. 12—14. Ubranie (majtki, kamizelka i żakietka) dla chłopczyka lat 6—8. Krój na arkuszu N. III, f. 17-30.

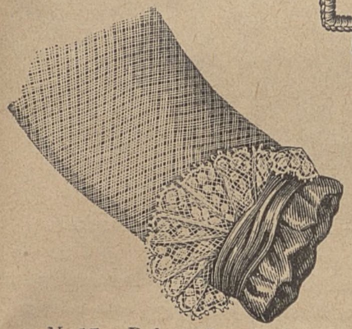


N. 15. Szlak ściegiem płaskim na płótnie kanwowem, filozelą.

ręki prawej do lewej podkłada się drut gruby, który wraz z nitką wzdłuż przeciągniętą obrabia się ścisłemi ściegami półkrzyżowemi. Pod rząd następny podkłada się drut drugi, a pierwszy wyciąga się dopiero, gdy się zaczyna rząd trzeci; tak



N. 16. Koronka siatkowa.



N. 17. Rękaw do sukni.

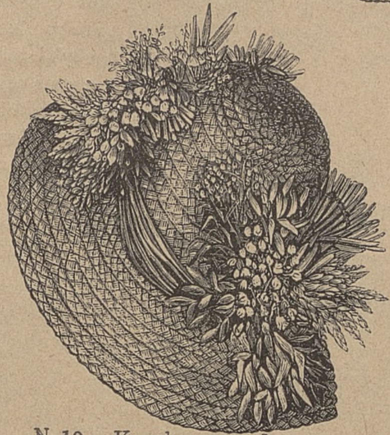
więc zawsze w robocie są dwa druty, a tym sposobem ściegi są równo odstające jak perełki. W rzędach długich, prostych, w których ściegi wszystkie idą w jedną stronę, a zmieniają się tylko kolory, do każdego koloru potrzeba oddzielnej igły, z którą nitki spuszczone są z lewej strony, dopokąd kolej ich nie nadejdzie. Chcąc zmienić kierunek ściegów, trzeba tylko odpowiednio udwrócić robotę. W miejsce bawełny można użyć do roboty włóczki crevel, a grubość tak pierwszej jak drugiej potrzeba tak wypróbować, ażeby jeden ścieg przykrywał 4 nitki w kwadrat w materyale użytym na tło.

N. 28—29. Paltocik dla dzieci. Krój podług formy do r. 31 i 32 w N. 47 z r. 1884.

Paltocik podany z przodu i z tyłu na ryc. 28 i 29, na modelu odrobiony był z białej piki, ozdobiony wstawkami i koronkami lub szlakami haftowanemi na białym batyście. Z przodu paltocik miał 49, z tyłu 53 cent. długości, a 140 cent. dolnego obwodu. Spódniczkę pleców trzeba (sposobem wskazanym na r. 28) złożyć w dwie kontrafałdy. Na przodzie naszyte są kieszonki 8 c. wysokie a 13 cent. szerokie, ozdobione szlakiem haftowanym. 11 cent. szeroki kolisty kołnierz, złożony z haftowanych wstawek i pasków batystu, oszyty jest haftowaną falbaneczką. Mankiety mają 8 c. szerokości. Wszędzie haft przyszyty jest paru rzędami stębnówki, które dane są także u dołu.



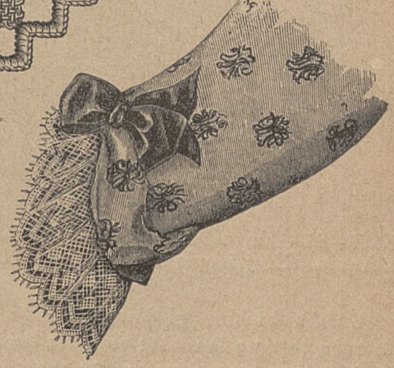
N. 20. Sukienka z paletocikiem dla panienki lat 7—9. Krój i opis na arkuszu N. IX, fig. 56—62a.



N. 19. Kapelusz ogrodowy.



N. 21. Sukienka z vêtement dla dziewczynki lat 4—6. Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 31—36.



N. 18. Rękaw do sukni.

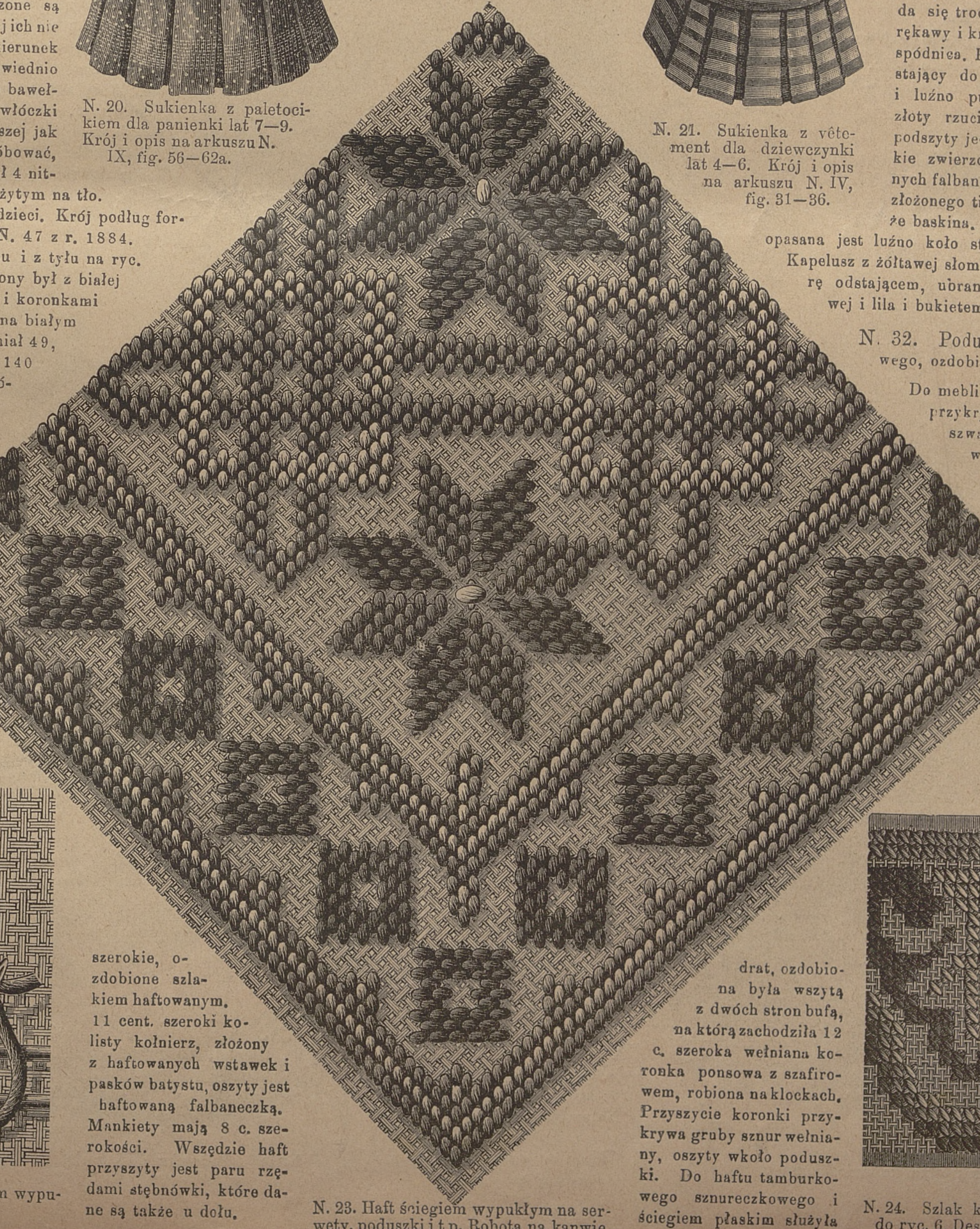
N 30. Suknia z draperyą i kaftaniczkowym stanikiem. Plecy r. 10, krój i opis na arkuszu z krojami.

N. 31. Suknia z krotkim kaftaniczkiem. Krój podług formy do r. 9 w N. 44 z r. 1884.

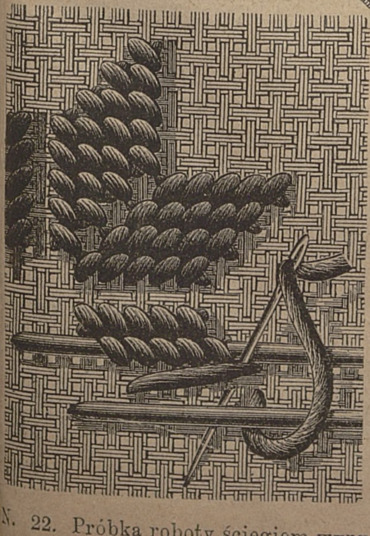
Do spódnicy à la paysane z czarnej faille, z przodu i z boków ułożonej w fałdy, z tyłu lekko podpiętej, stanik z tiulu haftowanego w drobne muszki, zrobiony był na jedwabnej podszewce, przymarszczonej do wcięcia w pasie. Tiul przy wykroju szyi i w pasie przemarszczony, układa się trochę bufiasto; długie, gładkie rękawy i krótki kaftanik są z faille jak spódnica. Kaftanik z tyłu obciśle przystający do figury, z przodu otwarty i luźno puszczony, jest haftowany w złoty rzucik, oszyty złotą torsadką i podszyty jedwabną podszewką. Krótkie zwierzchnie rękawki są z plisowanych falbanek, układanych z podwójnie złożonego tiulu, z których dana jest także baskina. Szeroka wstążka ottoman, opasana jest luźno koło stanika i związana z przodu. Kapelusz z żółtawej słomki z rondem wysoko w górę odstającem, ubrany falbankami z gazy żółtawej i lila i bukietem bzu.

N. 32. Poduszka do krzesła ogrodowego, ozdobiona pospiesznym haftem.

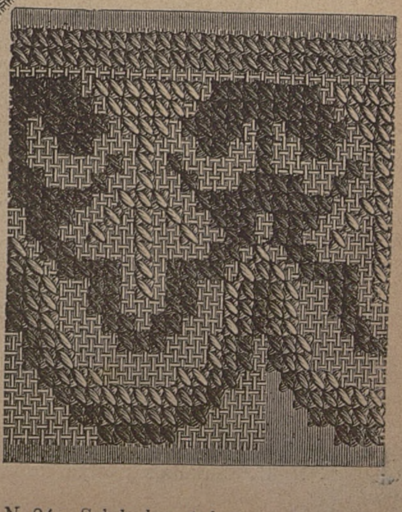
Do mebli ogrodowych na poduszki i przykrycia najwięcej używany jest szwajcarski perkal lub materye wełniane ponsowe, ozdobione łatwym haftem w żywych kolorach. Na modelu ponsowa repsowa poduszka, trzymająca 53 c. w kwadrat, ozdobiona była wszytą z dwóch stron bufą, na którą zachodziła 12 c. szeroka wełniana koronka ponsowa z szafirowem, robiona na klockach. Przyszycie koronki przykrywa gruby sznur wełniany, oszyty wkoło poduszki. Do haftu tamburkowego sznureczkowego i ściegiem płaskim służyła



N. 23. Haft ściegiem wypukłym na serwety, poduszki i t p. Robota na kanwie.



N. 22. Próbka roboty ściegiem wypukłym do ryc. 23.



N. 24. Szlak krzyżykowy odpowiedni do ryc. 6. Deseń na arkuszu, fig. 40.

bawełna niebieska i ponsowa i świecący jedwab roślinny chiński.

N. 33. Suknia z koronkowym żabotem.



N. 26—27. Fartuszek dla dziecka, zasłaniający całe ubranie. Krój i opis na arkuszu N. VIII, f. 53—55.

Krótka baskina gładkiego stanika ogarnirowana jest szeroką żółtawą koronką; na żabot trzeba prostego kawałka koronkowego materyału, 60 cent. długiego a 64 szerokiego, oszytego koronką, który tylko górnemi rogami przypięty jest do stanika kokardami z wstążki 6 cent. szerokiej, a na wcięciu w pasie zmarszczony do 6 cent. i przepięty wstążką.

Opis do N-ru 32.

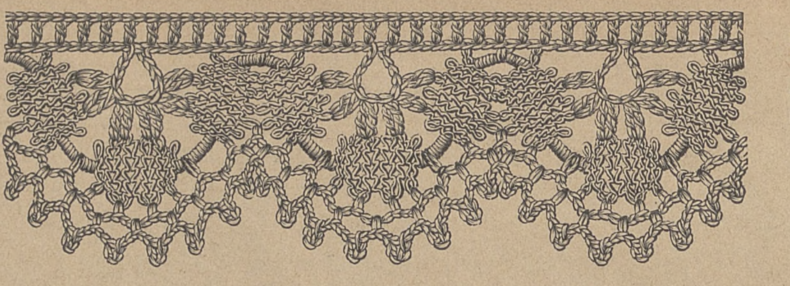
N. 1. Sukieneczka dla dziewczynki.

Odrobiona z białego materyału loden, ma stanik 35 c. długi, z przodu przy zapięciu ułożony w kontrafałdki po 3 c. szerokie. Spódniczka 24 cent. długa, ułożona w kontrafałdy 5 cent. szerokie, naszyta pletnią wełnianą. Takaż pletnia związana zamiast szarfy, przewleczona z boków pod patkami. Guziczki emaliowane.

N. 3-4. Ubranie ślubne.

Tradycyonalnie przy sukniach ślubnych dawano długie treny, obecnie zaś moda rozdziela je stanowczo na dwie kategorye: skromne suknie z materyałów wełnianych jak kaszmir, voile, fular lub surah robią powłóczyste albo zupełnie bez trenu, zostawiając takowy do sukien kosztownych, na obrzędy ślubne odbywane z całą możliwą wspaniałością; do takich zalicza się materya jedwabna adamaszkowa, brokat, plusz, aksamit. Najpraktyczniejszy jest tren przypinany, podszyty od spodu kaszmirem lub materyą, ułożony na spódnicy krótkiej z tego samego materyału lub koronkowej z draperyą z przodu albo fałdowanej à la paysane. Zamiast muślinu używanego dla młodych osób, modne są suknie ślubne z crêpe de chine lub gazy na jedwabnem podwleczeniu, dla starszych panien z koronkowego materyału. Draperya przednia ma zwykle formę długiego fałdzistego fartucha, tylne bryty suto nafałdowane spadają nie podpięte. Wolant koronkowy zastępuje garnirunek spódnicy. Girlandy ślubne, modne obecnie mają najwłaściwszą formę wianka małych rozmiarów suto uwitego, przypiętego nad czołem na środku głowy; przybranie całej sukni gałązkami mirtu uważamy za zbyt pretensyonalne, ale bardzo właściwe jest przypięcie małego bukiecika przy kołnierzyku i z boku przy pasku. Welony iluzjowe osłaniające całą postać, nie przyciśnięte nigdzie przypięciem szpilkami są najładniejszem dopełnieniem ślubnego ubrania; niektóre panny młode spuszczają je na twarz; dla młodych wdów przystępujących powtórnie do ołtarza używane są welony koronkowe. Buciki atłasowe mają formę wyciętą i zdobne są małą kokardką. Bukiety ślubne płaskie i niezbyt wielkie, przewiązane długą kokardą. Ryc. 3—4 przedstawia suknię ślubną z fartuszkową tuniką, z dość długim trenem, uszytą z matowo białej moiré antique, ze spódnicą przysłoniętą całkowicie pokryciem koronkowem. Fig. 49—52 daje formę stanika sznurowanego z tyłu, który z przodu przybrany jest koronkowym plastronem, dodanym podług ryc. 3. Szeroka szarfa morowa tworzy przypięcie brzegiem stanika z przodu, a z tyłu podług ryc. 4 spada w trzy długie pukle i jeden koniec.

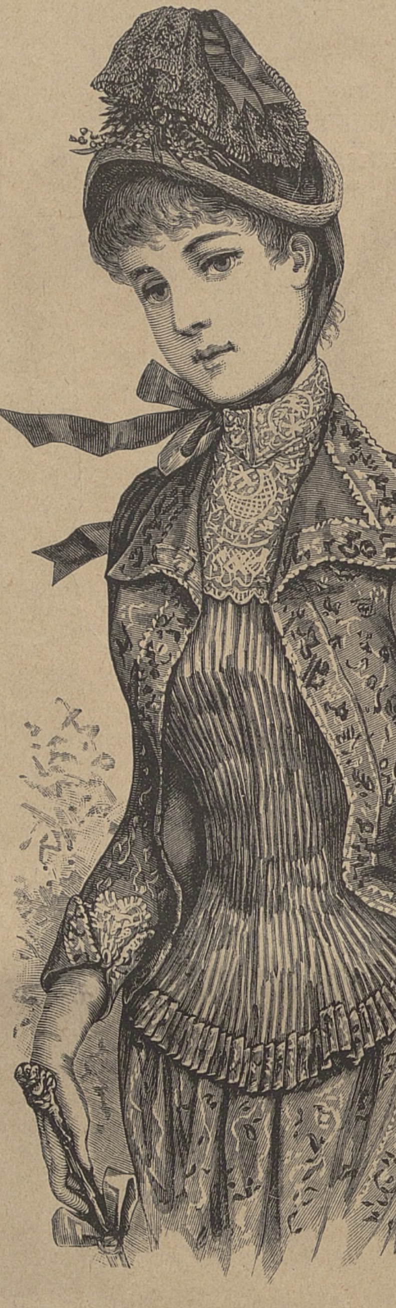
(*D. n.*)



N. 25. Koronka szydełkowa z medalionową mignardisą.

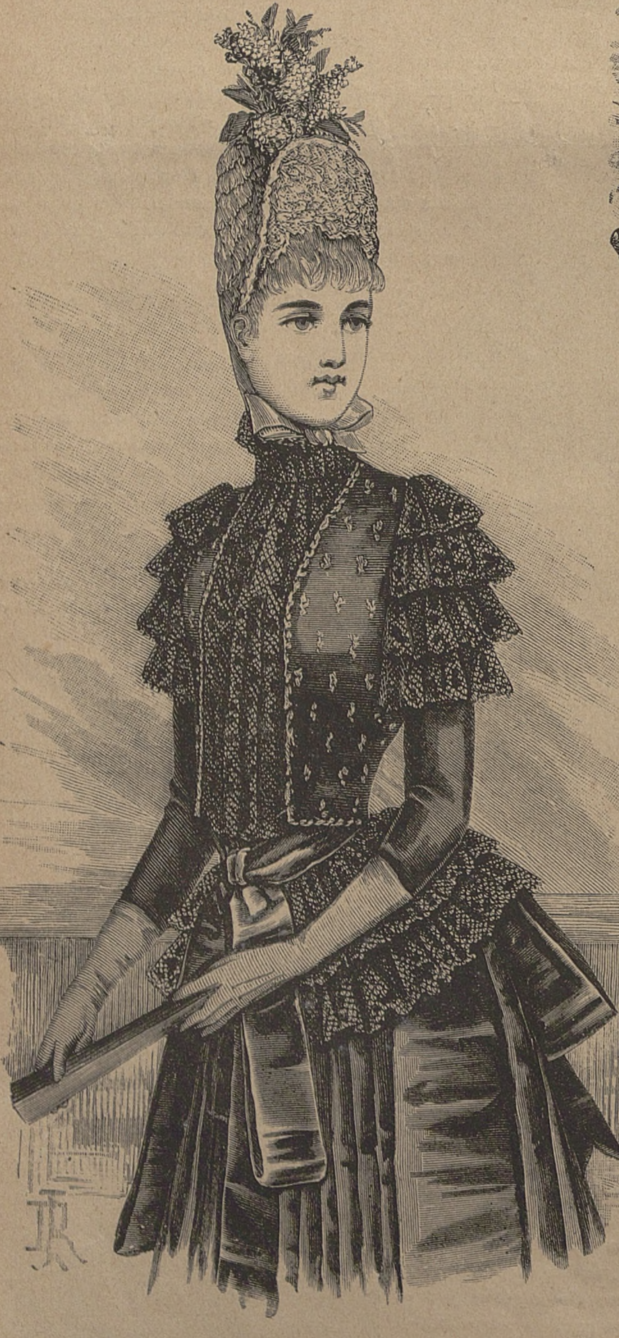


N. 28—29. Paletocik dla dziecka.



N. 30. Suknia z kaftanikiem i draperyą. Patrz ryc. 10. Krój i opis na arkuszu Nr. e, fig. 1—9.

I



N. 31. Suknia z krótkim kaftaniczkiem.



N. 32. Poduszka do krzesła ogrodowego. N. 33. Stanik z żabotem koronkowym.



Pl. 617.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.